Nr. 43. Poznań, Niedziela 21-go Października 1900 r. Rok IV.

# PRACA
Tygodnik illustrowany

*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę**; na poczcie w Austro-Węgrzech 59 cent.*
*Pod opaską: w Niemczech 1,65 mr., w Austro-Węgrzech 1 złr., za Oceanem 1 dolar.*
*Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 295*

## *Polacy na obczyźnie.*

Ktokolwiek miał sposobność zetknięcia się z Polakami-emigrantami, zamieszkującymi kolonie w głębi Niemiec, ten z pewnością wszędzie jeden i ten sam charakterystyczny rys zauważyć musiał, wspólny wszystkim polskim koloniom: a mianowicie nieporównaną pewność siebie i głębokie przekonanie, że zdołają uchronić się od wynarodowienia. Ta pewność siebie na punkcie zachowania narodowości jest niejednokrotnie może zbyt ułudną, zbyt optymistyczną, świadczy jednak ona wymownie, że emigracya, o której mowa, pochodzi z narodu żywego, o wysoko rozwiniętem poczuciu narodowem o temperamencie zwycięzko przebywającym trudności wszelkiego położenia...

Wszakże my tu u siebie w ojczyźnie wątpimy nieraz, czy nasze siły zdołają starczyć za obronę przeciw germanizacyi, a tam na emigracyi, lud jest zupełnie pozbawiony tej opieki, która w nim utrzymuje i budzi ducha w kraju, a jednak poczucie narodowe i tam zachowuje przynajmniej w znacznej mierze.

O przykłady nie trudno. Aż nazbyt często mamy dowody ile to zacnych, a narodowi oddanych serc los rzucił w odległe kraje. Z Turyngii i z Nadrenii, z Saksonii i z Meklemburgii biegną ku ojczyźnie tęskne słowa i westchnienia od tych, co na obczyźnie będąc, całą duszą jeszcze tkwią w kraju. A takich jest dużo.

I dziwić się doprawdy trzeba, czemu należy przypisać ten niewytłomaczony nieraz i niczem nieuzasadniony ogień przywiązania do ojczyzny, który nie gaśnie, choć go fale germańskiej kultury zewsząd przygniatają. Nasz emigrant w głębi Niemiec niema księdza, któryby go utrzymywał w łączności ze społeczeństwem na punkcie wiary, a temsamem ożywiał narodowe tradycye, niema też nikogo ze sfer inteligentnych, ktoby dbał o utrzymanie w nim narodowości; niema tych różnorodnych wieców, towarzystw, kółek, i banków — jednem słowem tego wszystkiego, co w kraju jest wyrazem wspólności pracy, co w kraju łączy jednostkę ze społeczeństwem, budzi w niej poczucie narodowe i samowiedzę. Zamiast tego przeciętny wychodźca na obczyźnie spotyka się odrazu z wpływami obcego otoczenia, rozciągającymi się na wszystkie pola, a pod względem narodowości pozostawiony jest zupełnie własnym siłom. Szczęście jeszcze, jeśli utrzymuje stosunki z rodziną przez listy, a stosunki ze społeczeństwem — przez gazetę polską; a w większości wypadków jedno i drugie nie towarzyszy mu w pierwszych latach pobytu wśród obcych. Aż oto po latach kilku, gdy gromadka przebywających w jednej miejscowości Polaków, odcięta przez długi czas od pnia rodzinnego, wydaje się już prawie zupełnie zgermanizowaną, — nagle bez zewnętrznych i namacalnych przyczyn pojawia się wśród niej jakby powiew świeży, zwiastujący narodowe odrodzenie. I staje się rzecz dziwna: bo jak z niezgrabnej, bezkształtnej poczwarki wyłania się piękny motyl, tak z szeregu tych zobojętniałych dla swego społeczeństwa osobistości, które zewnętrznie już zupełnie przejęły się kulturą obcego narodu, odzywa się złote polskie serce, poczciwe przywiązanie do narodowości, gotowość służenia sprawie wszelkiemi siłami. Niejeden już licho zaczął mówić po polsku, nie zważał na wychowanie dzieci, gazet polskich nie trzymał — a jednak, cudem jakimś, utrzymał nienaruszone przywiązanie do kraju, które nagle się budzi z uśpienia. Nadchodzi chwila — i te serca się budzą. Tworzą się pierwsze zawiązki towarzystw. Dzieje się to z początku bardziej bezwiednie niż świadomie. Ci ludzie na razie nie wiedzą, jak powinni się zabrać do dzieła, ale *czują*, że należy założyć towarzystwo, zbierać się co tydzień i wysłuchać jakiejś przemowy lub odczytu, nie tyle oświecającego umysł, ile umacniającego ducha, pokrzepiającego serca. Dlatego też najczęściej napotykanym odczytem jest odczyt na temat: O potrzebie zbierania się w towarzystwach. Wychodźcy czują, że jak pierwszą odruchową czynnością człowieka budzącego się, jest przetarcie sobie oczu, tak u nich pierwszym czynem powinno być założenie sobie towarzystwa, ugrupowanie się pod narodowym sztandarem i wytworzenie wspólnego ogniska pracy.

Około tego ogniska gromadzą się siły, ku niemu dążą wysiłki ludzi dobrej woli. Poczucia narodowości nie trzeba wśród naszych emigrantów wytwarzać, należy je tylko *budzić*, bo ono drzemie w każdem sercu. Raz rozbudzone, potrafi ono znaleść środki i siły do krzewienia się i dalszego wzrostu. Po pierwszych udatnych próbach zawiązywania towarzystw następuje normalna ich działalność, odczyty budzące ducha, zawiązywanie bibliotek, regularne czytanie gazet, wreszcie wiece,

jako manifestacye myśli politycznej i samodzielne jej objawy, spowodowane bieżącymi wypadkami politycznymi.

Taką drogą powolnego, lecz stałego rozwoju posuwała się kolonia polska w Berlinie i kolonie polskie w prowincyach nadreńskich. Szybciej i silniej rozwinąć się w nich mogło życie narodowe, bo są one i liczniej i bardziej ożywione. Kolonie polskie w Lipsku, w Dreznie, w Hamburgu i we Wrocławiu znajdują się obecnie w zaraniu tego rozwoju. Byt towarzystw jeszcze niezupełnie ustalony, działalność ich niezupełnie wytknięta.

Inne kolonie polskie na zachodzie, mianowicie we Frankfurcie nad Odrą, w Szpandawie, w Magdeburgu, w Szczecinie i w innych pomniejszych miastach dotychczas jeszcze nie dały dobitnych wyrazów swego istnienia.

Na wstępie zaznaczyliśmy, że emigracya polska w ogólności optymistycznie zapatruje się na możność utrzymania narodowości na obczyźnie w obecnych warunkach. Przy pobieżnym przeglądzie faktów, świadczących, że poczucie narodowe tryska nagle nawet z serc pozornie już oddawna wyziębłych, zdawaćby się mogło, że optymizm ten jest uzasadniony. Lecz również faktem, nie ulegającym wątpliwości, jest ogromny procent germanizujących się rok rocznie jednostek. Świadczy to tylko o tem, że jakkolwiek w duszach drzemie przez pewien czas poczucie narodowe, to jednak, gdy w pewnym okresie czasu nie zostanie zbudzone i do życia a czynu powołane, zamiera bezpowrotnie.

Kolonie polskie o tem pomyśleć powinny zwłaszcza teraz, gdy w sferach rządowych kują projekty zakazu języka polskiego na zebraniach w Niemczech. Jest to oczywisty zamach na narodowość naszych kolonii. Czas więc teraz, aby te ospałe, nie wyszłe jeszcze z odrętwienia kolonie wytężyły wszystkie siły, aby — póki pora po temu — rozbudzić narodowo jaknajwiększą liczbę wychodźców.

Żaden kraj może nie ponosi przez wychodźtwo tak bolesnych i dotkliwych strat, jak Polska. Pozbywa się ona znacznego zapasu sił, które jej byłyby potrzebne w walce z obcymi żywiołami. Niektóre, bardziej już rozbudzone kolonie polskie, skłonne są do optymistycznych przypuszczeń, że przy pracy uda się narodowość przechować nienaruszoną wśród obcych w drugie, albo i trzecie pokolenie, aż wreszcie nadejdzie czas, kiedy ojczyzna przyjąć będzie mogła ojców — w osobach ich synów i wnuków.

Daj Boże, aby to nie były czcze złudzenia. Germanizacya czyni straszne spustoszenia wśród młodzieży wychowanej na obczyźnie. Kto wśród swego społeczeństwa żył, kto oddychał powietrzem swojem wśród swoich, ten, choćby i w młodości opuścił ojczyste strony, dochować może święcie wiary ojczyźnie i do śmierci; lecz narodowe uczucie, zaszczepione w serca młodociane, którym nie było niestety dane odetchnąć ożywczą atmosferą wród rodaków, pozostaje prawie zawsze sztucznie wyhodowanym, nikłym i wątłym krzewem, — latoroślą zaszczepioną na obcej łodydze. Tego nie obalą żadne rozumowania, bo to jest faktem. A więc powrót, powrót do kraju jest jedynem hasłem. Ale trzeba je odpowiednio do sytuacyi rozumieć i wykonać.

Kraj nasz (rozumiemy tu wszystkie dzielnice Polski) potrzebuje i potrzebować będzie zawsze przedsiębiorczości, rzutkości, samodzielności w walce o byt, fachowego obeznania się ze skomplikowanemi gałęziami przemysłu i rzemiosł — jednem słowem tych wszystkich zalet, których szkołą jest dla naszej pracującej emigracyi pobyt wśród obcych. Emigracya nasza powinna pobyt wśród obcych uważać zawsze jako *czasowy*, jako *szkołę* i powinna się starać pobyt ten o ile możności wykorzystać. Kraj jej będzie wdzięczny za to, jak niemniej wdzięczny będzie za przyniesienie tych pierwiastków zachodniej oświaty porządku i uspołecznienia, na jakich nam jeszcze zbywa.

Fakt, że pomimo oderwania od pnia macierzystego, wśród naszych wychodźców nie zamiera przywiązanie do polskości, ma też wielkie znaczenie dla naszego społeczeństwa — i to nietylko praktyczne. Oto widząc, jak pod naciskiem germanizacyi jeden po drugim usuwają się nam z pod nóg te czynniki, które dodatnią odgrywały rolę w utrzymaniu narodowości, — widząc, jak ekonomiczna depresya wypiera klasę obywatelstwa ziemskiego z jej roli krzewiciela polskości wśród ludu, jak system germanizacyjny i kościół radby wciągnąć w swe sieci, — jakby rad naruszyć wolność naszych zgromadzeń, stłumić wszelkie przejawy ducha za pomocą szkoły — widząc to wszystko nie powinniśmy się przejmować trwogą: bo oto na emigracyi mamy tyle setek ludzi, którzy bez opieki klas inteligentnych, bez pomocy naszego kapłana, wśród nierównie gorszych warunków i bardziej wynaradawiającego otoczenia odnaleźli w sobie gdzieś w głębi serca tlejącą iskierkę narodowości i rozdmuchali ją w płomień wielki, przy którym inne serca się ogrzewają. Nie traćmy więc nadziei, chociaż złe czasy się zbliżają. Lud nasz może już niebawem znajdzie się w położeniu emigrantów, gdzie obcy dwór, lub obcy zwierzchnik, obcy kapłan i obca szkoła; *lecz poczucie narodowości — to jak iskra ducha Bożego: rozdmuchać ją może każdy, kto ma dobrą wolę potemu, lecz zgasić — żaden wróg, chyba własna wina i obojętność.*

*Vester.*

# Kara więzienna.

W dziejach porozbiorowych W. Księstwa Poznańskiego trzeba nam nowy zapisać fakt, niebywały dotąd, w historyi porozbiorowej Polski jedyny:

**Od dnia 10—15 października 1900 r. odsiadywała karę więzienną w areszcie policyjnym poznańskim panna Janina Omańkowska — za bezpłatne udzielanie biednym dzieciom polskim nauki języka ojczystego.**

Moglibyśmy poprzestać na suchem podaniu tego faktu, należącego dzisiaj już do historyi, i ocenę jego, sąd o nim pozostawić każdemu człowiekowi, który ma zdrowe serce i zdrowy rozum. Wiemy, że sąd ten może być tylko jeden — bezwzględne potępienie. Moglibyśmy więc poprzestać na gołosłownem zanotowaniu tego faktu; są jednak zdarzenia, wywołujące tak silne wrażenia, budzące tak gorzki ból i oburzenie, że chwyta się za pióro już nie po to, by sąd spokojny o czemś wydać, ale po to, by wylać na papier cały swój gniew i wzburzenie i dać po prostu wyraz uczuciom, silniejszym niż chłodny rozum.

Czy słyszał kto kiedy o czemś podobnem? Zamykano dotąd do więzień zbrodniarzy i złoczyńców, łamiących przykazania boże; wrzucano za kraty więzienne przestępców groźnych, niebezpiecznych dla

państwa, społeczności ludzkiej, lub nastroju politycznego, ale czy kto kiedy słyszał, by karano więzieniem postępki, które sam Bóg nakazuje, by ścigano kobiety za to, że niosą miłość i oświatę maluczkim. A to się dzieje dzisiaj w państwie konstytucyjnem, chcącem krzykiem i butą przekonać o swej „kulturze“ i mieniącem się wyznawcą chrześcijańskiego Boga.

Wiemy o fakcie podobnym, co prawda, ale jednak dużo odmiennym; rozgrywał on się przed kilkudziesięciu laty w despotycznej, „barbarzyńskiej“ Rossyi. I tam więziono za podobne idealne dążenia, — lecz nie niewiasty słabowite, bezbronne, ale młodzież męską, podejrzaną chociaż niesłusznie — o dążenia polityczne, groźne dla caratu. Mam tu na myśli prześladowanie filaretów we Wilnie, owego związku młodzieży, który za miłość do nauki i cnoty cierpiał kary więzienne z rąk władzy rosyjskiej. Do liczby tych prześladowanych należał nasz poeta-wieszcz narodowy, Adam Mickiewicz. Ten to znosząc wówczas również ucisk dla sprawiedliwości, a rozmyślając nad gwałtami i nadużyciami, jakich się urząd i władza dopuszczała, napisał te oto słowa: Czasem Bóg daje władzę w ręce — złego ducha.....

Każde słowo Mickiewicza jest dla nas dziś i po wszystkie czasy materyałem do głębokich rozmyślań.

Fakt uwięzienia panny Janiny Omańkowskiej ma dla nas jeszcze i dalsze znaczenie. Niech wiadomość o tym nowym czynie pruskim dojdzie pod każdą strzechę polską, niech obudzi cześć dla tej osoby, która nowy liść wplotła do wieńca swych zasług, i niech jej wdzięczność zaskarbi wszystkich rodzin szczerze polskich. Fundusz „Omańkowskiej“, jaki już dzisiaj na zakupno elementarzy, a dla wiecznej czynu jej i uwięzienia pamiątki zbieramy, niech będzie widomym wdzięczności i czci tej objawem.*)

Czcigodny postępek i zaszczytne dla panny Omańkowskiej więzienie niech będzie i dalej jeszcze owocne! Nie mogą już dzisiaj kobiety nasze udzielać dzieciom polskim systematycznie nauki języka ojczystego, bo im władza pruska ręce związała i obezwładniła ich ofiarne chęci, ale mogą wszędzie, gdzie się sposobność nadarzy, krzewić wśród dziatek słowem i czynem miłość tego języka nam umiłowanego i tej ziemi naszej matki-żywicielki. Mogą i powinny tam przedewszystkiem działać, dokąd nie sięgnie urzędników policyjnych władza, ani pięści pruskiej burząca siła: niech w domach, w najbliższem kole rodzinnem każda nasza kobieta wśród dziatwy działa, jak prawdziwa Polka działać powinna! Niewiasty polskie! do was należy wychować „w zaciszy grono olbrzymiej młodzieży“, wykarmić je wiarą w wolność i uczuciem krzywdy swego narodu. Więcej nam takich Omańkowskich, cichych a czynnych i umiejących ucisk cierpieć dla sprawiedliwości — a przyszłość nasza!

Wieść o uwięzieniu panny Janiny Omańkowskiej niech dalej działa: niech kopie jeszcze głębiej tę przepaść między nami a Prusakami, niech nas nauczy, że między nami a nimi nie ma zgody, i niech dzieci nasze napoi postrachem przed pruską władzą i wstrętem do niej i do wszystkiego, co niemieckie, co pruskie!

Kara więzienna przecierpiana przez pannę Janinę Omańkowską będzie wieczną pamiątką męczeńskich prób, przez jakie idziemy do lepszej przyszłości; będzie też wiecznym pomnikiem pozornej cywilizacyi pruskiej i kultury pięści, tej cywilizacyi, która w dziewiętnastym wieku powstańców polskich kamieniem piekielnym i żelazem piętnowała, tej cywilizacyi, której najwyższy przedstawiciel w świecie uczonym do walki plemiennej zagrzewał parlament wiedeński krzykiem: „Walcie Czechów po czaszkach!“ *) tej cywilizacyi, która o brzasku dwudziestego wieku wysyłała wojska swe do Azyi z rozkazem niedawania pardonu!

— A my korzmy się dzisiaj przed Panem i powtarzajmy te słowa: Od powietrza, głodu, ognia, wojny — i takiej cywilizacyi: wybaw nas Panie!

*Poznańczyk.*

*) Redakcya „Pracy“ przyjmuje również składki na fundusz Omańkowskiej. By składki te rozpocząć, współpracownik nasz, autor niniejszego artykułu, ofiaruje 5 mk. Na dalsze składki od naszych Czytelników czekamy, nie potrzeba dawać wiele, niech tylko daje wielu.

*) Teodor Mommsen, znany berliński uczony, profesor historyi rzymskiej, takiemi słowy rozpalał przed trzema laty austryackich Niemców do walki parlamentarnej z Czechami.

# Z celi więziennej.

(Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.)

A zatem stało się!! — Sprawa, która poruszała umysły przez $1\frac{1}{2}$ roku, zakończyła się nareszcie — w celi więziennej! Ostatnie pożegnanie z rodziną — ostatnie pocieszenie dozorcy: „*es wird gar nicht schlimm, die Hauptsache, dass Sie schon drinn sind, dass die Unruhe vorbei ist*“ — ciężkie drzwi zamknęły się — zostałam sama! —

Celka wysoka może na trzy metry, długości metrów cztery, szerokości dwa z oknem zakratowanem i z zewnątrz blaszanym koszem opatrzonem, ale mimo to, dostatek światła wpuszczającem, nie robi przerażającego wrażenia. Tylko gołe, chociaż bielone ściany i drewniana prycza do spania, połowę celki zajmująca, nie usposabiają do marzeń w samotności przyjemnych. Przeciwnie! jak zmora narzuca się w umysł rozmyślanie na temat: Cywilizacya w Niemczech w końcu 19-go stulecia, a rozmyślanie takie, jako żywo, przyjemnem nie jest.

Przypuszczać można, że Niemcy sami kiedyś będą się chcieli wyprzeć tego faktu, że za szerzenie oświaty wśród klasy robotniczej, za udzielanie nauki *bezpłatnie*, wyznaczały kary; że w tej samej celi, w której zamykano złodziejki i nierządnice, mogła się znaleść osoba za spełnienie uczynku, uchodzącego w oczach Boga i ludzi za uczynek dobry. — Podobno „Tageblatt“ Poznański zarzuca prasie naszej, jakoby tanim sposobem chciała zrobić ze mnie męczenniczkę. Otóż przyznaję, że 5 dni aresztu policyjnego nie jest męczeństwem; celka ani nie jest brudna (na moje przyjęcie została świeżo wyszorowaną) ani ciemna (przynajmniej w dzień do godziny 5-ej, bo światła wieczorem palić nie wolno); nie ma w niej ani po ścianach ściekającej wilgoci, ani żadnego robactwa (oprócz legionu pluskiew); wolno mi mieć własną pościel (chociaż ona drewnianej pryczy zmiękczyć nie zdołała ani trochę;) wolno mi żywić się własnym kosztem; wolno mi przechadzać się czasem po korytarzu, a przez godzinę dziennie na podwórzu; wolno mi także przyjmować odwiedziny rodziny i przyjaciół w oznaczonej przezemnie godzinie; wolno mi czytać i pisać bez ograniczenia, a dozorcy, co z uznaniem podnoszę, są grzeczni i względni. Powtarzam zatem raz jeszcze, że 5 dni aresztu policyjnego nie jest męczeństwem. Ale czyż „Tageblatt“ chciałby może, aby zbrodnię, przezemnie popełnioną, karano w sposób męczeński? Może tak do ciemnicy wsadzić na chleb i wodę? A możeby jakie torturki szanowny „Tageblatt“ wymyślił specyalnie dla tych, którzy bez pozwolenia władzy policyjnej szerzą cy-

wilizacyę i oświatę? Otóż, mojem zdaniem, nie chodzi tu wcale o jakość kary, tylko o rzecz samą.

Zeszłego roku czytałam w pismach, że Akademia Umiejętności w Paryżu ma do rozporządzenia kapitały, od których procenta przeznaczone są na nagrody za czyny cnoty. Otóż zeszłego roku otrzymał najwyższą nagrodę, 1500 franków, młody nauczyciel prywatny, utrzymujący się z dawania lekcyi, za to, że gromadził koło siebie dzieci wałęsające się po ulicy, opiekował się niemi i uczył je.

Otóż i my Polki uczymy dzieci nie z pałaców, ale dzieci biednych rodziców, dzieci, któreby w tym czasie wałęsały się po ulicach i dziczały. A przytem żadna z nas nie robi tego z pańskich nudów, tylko albo czas ten urywa od zajęć, albo ostatecznie od rozrywek, potrzebnych zdrowiu. Naszą nagrodą za to jest jednak tylko — — cela więzienna.

Mnie wprawdzie podejrzywał p. prezydent policyi, że muszę mieć kapitały, motywując żądanie odemnie przysięgi manifestacyjnej w ten sposób:

„Omańkowska mieszka razem z swym wujem, panem K. który majątku nie posiada żadnego a zarabia, co dowiedzionem być może, nie więcej jak 1000 marek rocznie.

„Omańkowska nie zajmuje się niczem, coby jakikolwiek przynosiło dochód, zato na polu politycznem i polsko-narodowem rozwija rozgałęzioną działalność, do czego nie byłaby chyba zdolną, gdyby nie była tak sytuowaną, aby czas i pieniądze poświęcać mogła, tylko gdyby przeciwnie zmuszoną była walczyć z kłopotami i nędzą życia."

Wyliczywszy następnie wszystkie towarzystwa, do których należę i wyłuszczywszy nawet stanowisko, jakie w nich zajmuję — wytknąwszy nawet wiece i moje na nich przemówienia, konkluduje p. prezydent policyi, że muszę mieć pieniądze i dlatego żąda, aby sąd odebrał odemnie przysięgę manifestacyjną. Otóż stwierdziłam przysięgą, że kapitałów nie mam, że nie mam nawet stu marek dla zapłacenia kary, a dodaję jeszsze, iż byłabym szczęśliwą, gdybym miała zapewnione 1000 marek dochodu rocznie. A jednak zajmuję się towarzystwami, mającemi na celu szerzenie oświaty i cywilizacyi i jednak — uczyłam biedne dzieci polskie bezpłatnie polskiego czytania i pisania. Pan prezydent policyi swojem pismem stwierdził tylko, że tego nie pojmuje, żeby ktoś zmuszony obywać się bez wygód życiowych, mógł oddawać coś dla innych resp. mógł działać dla idei. I prawdopodobnie nietylko p. prezydent sam nie pojmuje tego. Niemców, którzyby to zrozumieli i pojęli, trzebaby szukać w pierwszych latach upływającego stulecia — możeby i w połowie tegoż stulecia znaleźli się tacy. Od czasu jednak jak miliardy francuskie napełniły Niemcom żłoby pod same brzegi, rozumieją oni tylko wygodne objadanie się u tego żłobu a pracę dla idei? owszem! ale za pieniądze. U nas inaczej, panie prezydencie! U nas nikt z tych, którzy pracują społecznie dla idei, nie jest tak sytuowany, aby rzeczywiście bez żadnego uszczerbku czas swój poświęcał; — u nas są kobiety, które po całotygodniowej ciężkiej, zawodowej pracy dla chleba, jeszcze w niedzielę uczą dzieci czytania i pisania po polsku. I nie mamy sobie tego nawet za żadne poświęcenie! Pracę dla uświadomienia i oświecenia ludu pojmujemy wszyscy i pojmujemy ją jako obowiązek, i w tem leży wyższość cywilizacyjna naszego narodu nad Niemcami, którzy tego „nie pojmują".

A czyż praca taka jest karygodną? przecież pośrednio pracujemy także dla wielkości i szczęścia państwa niemieckiego, boć im więcej państwo ma światłych i rozumnych obywateli, tem lepiej jest dla ogólnego dobrobytu i zadowolenia, o co przecież każdemu państwu chodzić powinno.

Zarzucają nam wprawdzie, że my nie tylko czytania i pisania polskiego uczymy, ale także historyi i literatury, a mianowicie, że uprawiamy przytem „wielkopolską agitacyę". No, jeżeli i to jest karygodnem, i *za to* ja obecnie w celi więziennej siedzę, to już inaczej być nie może, ale po mojem wyjściu zajmie tę celę chyba sam p. prezydent policyi! Tyle bowiem „wielkopolskiej agitacyi", tyle patryotyzmu polskiego, tyle rozgoryczenia przeciw władzom, ile p. prezydent rozwinął i wszczepił swemi zakazami uczenia polskiego języka, ustanowieniem kar pieniężnych, a nawet więziennych — tyle przyznam się szczerze, ja dotąd wszczepić nie zdołałam, chociaż przyrzekam sobie, że będę się starała przynajmniej dorównać w tem na przyszłość p. prezydentowi. — —

— W tej chwili słyszę rozdzierający płacz kobiety, świeżo do więzienia wprowadzonej, oraz rozpaczliwe zawodzenie: o Jezu, Jezu, czego ja doczekałam! — Nie znam przewinienia tej kobiety — przypuszczam jednak, że jest ona innej natury niż moja, i że spowodowała je nie „wielkopolska agitacya", ale ciemnota. Mam nadzieję, że z tych dzieci, które Polki chrześcijanki uczą czytania i pisania po polsku, żadne nie przestąpi gmachu więziennego z taką rozpaczą i żalem nad straconem życiem. Mam także nadzieję, że z tych dziewcząt, któremi w dzieciństwie opiekują się światłe, rozumne i pełne miłości kobiety, żadna nie przestąpi progu pokoju obok mojej celki położonego, w którym odbywają się hygieniczne rewizye, co jest świadectwem najgłębszego upodlenia ludzkości. Za to jednakże — za to — owe kobiety chrześciańskie same mają widoki znaleść się kiedyś — w celi więziennej — tylko, że mają prawo wchodzić do niej i wychodzić z niej — z podniesionem czołem. —

Nie może chyba być dwóch zdań o tem, że ze stanowiska ogólno-ludzkiej cywilizacyi na sprawę patrząc niesłusznie, siedzę tu w celi, słuchając wciąż rozpaczliwych wybuchów mojej sąsiadki — przypatrzmy się teraz, jak ta sprawa wygląda ze stanowiska prawnego. Prusy przecież uchodzą za państwo, w którem rządzi prawo — zatem, jeżeli rzeczywiście wykroczyłam przeciwko prawu, to i nie ma co mówić, muszę podlegać karze, czyli iść do ciupy — takie jest prawo i basta! —

Otóż stwierdzić należy po pierwsze: że w całym zbiorze praw w Prusach obowiązujących, nie ma żadnego paragrafu, któryby zakazywał lub ograniczał bezpłatne nauczanie. Są tylko pewne ograniczenia i wymagania przy nauczaniu procederowem. Wprawdzie teraźniejszy pruski minister oświaty, p. dr. Studt, oświadczył w sejmie, że nawet bezpłatne nauczanie jest procederem, jeżeli odbywa się przez czas dłuższy w ciągłości. Tego jednakże powiedzenia nikt chyba na seryo brać nie może, albowiem według prawa procederowego, w Prusach obowiązującego, i według ogólno-ludzkiego pojęcia, cechą procederu jest zamiar zysku.

Pan prezydent policyi, wydając w imieniu rejencyi zakaz, pod groźbą kary uczenia dzieci polskiego czytania i pisania nie przytoczył też prawa ani paragrafu, na mocy którego to czyni, co najlepszym jest dowodem, że prawa takiego nie ma.

Przypuściwszy, że prezydent policyi, jako władza w kraju rzeczywiście samodzielna, miał prawo do wydania takiego zakazu, to stwierdzić należy po drugie: — że *ustanowienie kary* (Straffestsetzung) nastąpiło mojem zdaniem niesłusznie.

Pan prezydent policyi, wydając zakaz, powołał się na prawo o administracyi krajowej, które upoważnia go do wydawania zakazów pod groźbą kary.

Zatem ja, rządząc się tem samem prawem, podałam zażalenie na rejencyę, z polecenia której zakaz wydanym został i to do naczelnego preresa prowincyi poznańskiej, powołując się przytem na paragraf 53 tegoż prawa, który orzeka, że zażalenie w drodze prawnej, pociąga za sobą odroczenie sprawy, doniosłam zarazem p. prezydentowi, że opierając się na tym paragrafie uczyć będę tak długo, dopóki sprawa we wszystkich instancyach nie zostanie rozstrzygniętą. Gdyby ta droga instancyi, którą poszłam, była niewłaściwą, to obowiązkiem było p. prezydenta zwrócić mi

na to uwagę, a ponieważ tego nie zrobił, ponieważ i p. naczelny prezes na zażalenie odpowiedział, chociaż odmownie, więc widocznie droga ta złą nie była. Pomimo to jednak p. prezydent policyi, nie czekając rozstrzygnięcia sprawy przez władze wyższe, karę ustanowił i do zapłacenia 100 marek mnie wezwał. Widocznie, że prawo o administracyi krajowej jest tylko dla władz, ale nie dla publiczności.

Przypuściwszy, że p. prezydent policyi, jako władza rzeczywiście w kraju samodzielna, nie potrzebował przyznawać mi słuszności do powoływania się na paragraf 53 prawa o administracyi krajowej, to jeszcze stwierdzić należy po trzecie:

że kara nastąpiła bez stwierdzenia winy.

Wprawdzie ja sama napisałam była do p. prezydenta, że nadal uczę, ale to bynajmniej nie jest stwierdzeniem i dowodem przewinienia. Jestem pewną, że gdybym dziś napisała do p. prezydenta, iż zrabowałam kościół w Smogulicach, nie kazałby mnie zamknąć do ciupy, aleby przedewszystkiem śledztwo zarządził, czy kościół w Smogulicach rzeczywiście zrabowanym został?

A jednak w dalszym przebiegu sprawy wykazało się, że p. prezydent na mocy tego mego oświadczenia, że nadal uczę, karę ustanowił.

Pan sędzia Opolski (nie Polak) w wyroku swym, odrzucającym żądanie p. prezydenta odebrania odemnie przysięgi manifestacyjnej, wyraźnie tę okoliczność podnosi, że p. prezydent bez stwierdzenia nowego przewinienia (ohne vorherige Feststellung eines neuen Deliktsfalles) a tylko na podstawie mego listu, ustanowił karę, który to list w zrozumieniu sędziego nie mógł stanowić stwierdzenia winy.

P. prezydent policyi, wzywając mnie do zapłacenia 100 marek kary nie powoływał się też na owo moje oświadczenie, tylko na jakieś dochodzenie policyjne: „wie die polizeilichen Ermittelungen ergeben haben.“ Ciekawem byłoby stwierdzić, jakiego rodzaju były owe „polizeiliche Ermittelungen?“ U mnie nie był nikt z policyi po wiadomości.

Może widział który z policyantów, że do domu, w którym mieszkam, wchodziły dzieci, ale czyż to nazwać można stwierdzeniem winy? W każdym razie mnie donieść należało, przez kogo przewinienie moje zostało stwierdzonem. W innych wypadkach, jeżeli władza policyjna wydaje mandaty karne, czy to za nieoświetlenie sieni, czy za nieposypywanie chodnika zimą piaskiem, czy za jakiebądź inne przekroczenia przepisów policyjnych, zawsze wyraźnie podawane jest nazwisko policyanta, czy żandarma, przez którego przewinienie stwierdzonem zostało, a jeżeli sprawa oprze się o sądy, ta sama osoba poświadczyć to musi przed sądem.

Wprawdzie w tym wypadku na cóżby się to przydało, jeżeli żadne sądy w Prusach sprawy tej sądzić nie chcą? Sądy zwyczajne sądzą tylko takie sprawy, które podlegają bądź kodeksowi karnemu, bądź cywilnemu, a ponieważ stosunki szkolne w Prusach nie są wcale prawem ustanowione i uregulowane (słuchaj Europo ucywilizowana!) przeto sądy o nich wyrokować nie mogą. Sądy administracyjne zaś rozsądzają wszelkie inne sprawy administracyjne jak: sprawy budowli, dróg, wód, podatków, tylko spraw szkolnych sądzić nie chcą. Zatem jedyną władzą w szkolnictwie pruskiem są rejencye i minister oświaty, albo minister oświaty i rejencye jak kto woli, a zawsze z panem prezydentem policyi do pomocy.

I otóż stał się fakt w administracyi i sądownictwie pruskiem niezwykły i wiekopomny, że wykonano karę *bez stwierdzenia winy.* A jeżeli ja nie uczyłam wcale dzieci od odebrania pierwszego zakazu? I tyle propagandy tyle, wielkopolskiej agitacyi“ ze strony p prezydenta policyi za nic?

Cała propaganda w tem, że jeżeli wszystko stało się „za nic“ to może przynajmniej nie będzie „na nic.“ Chyba ludność Prus dojdzie do przekonania, że szkolnictwo krajowe, ta najważniejsza bezsprzecznie instytucya, nie może zależeć li tylko od woli ministra i prezesa policyi i że gwałtowna jest potrzeba uregulowania go na podstawach prawnych. A choć sprawdzi się znów historyczny pewnik, że Słowianie muszą być pognojem dla wielkości germańskiej, nic to! coś przytem zyskaliśmy i my Polacy: „Niech tu Pani Pan Bóg dopomoże przez ten czas!“ Temi słowy pożegnał mnie robotnik polski, który zniósł do celi więziennej rzeczy moje, a dwie łzy jak groch spadły mu na sumiaste wąsy. *Takiemi łzami ludu polskiego, panie prezydencie, rosi się rola pod przyszłość polskiego narodu!*

10. X. 1900. *Janina Omańkowska.*

# Na wolności.

W niedzielę, dnia 14-go b. m. panna Janina Omańkowska opuściła po godzinie 1 z południa kaźń policyjną, w której przesiedziała 5 dni za to, że — uczyła dzieci polskie języka ojczystego. Dzielnej Polce sprawiło wdzięczne społeczeństwo polskie poważną a serdeczną owacyą, która choć na chwilę kazała jej zapomnieć o przykrości, jakiej doznała za swoje poświęcenie i miłość dla dziatwy polskiej. Przypuszczano, że panna Omańkowska wypuszczoną zostanie o 3 po południu, gdyż o tej godzinie przed pięciu dniami poszła do więzienia. Tymczasem stało się inaczej, gdyż opuściła przymusowe przykre mieszkanie krótko po godzinie 1 w południe. Mimo zmylonego czasu, tysiące wdzięcznych rodaków czekały już w pobliżu gmachu policyjnego. Skoro ukazała się w progu, pospieszyło do niej na powitanie kilku obywateli z bukietami, a licznie zgromadzona publiczność wznosiła gromkie okrzyki „Niech żyje!“ Panna Omańkowska w otoczeniu swem wsiadła do dorózki. Zbite tłumy pnbliczności podążyły za doróżką, obsypując ją kwiatami i wznosząc nieustanne okrzyki na jej cześć. Na placu Wilhelmowskim przystąpiło kilku robotników do dorózki, którzy chcieli konie odprządz i sami odwieźć pannę Omańkowską do mieszkania. Towarzyszący jej panowie nie pozwolili jednak na to. Na ulicy Strzałowej przed mieszkaniem panny Omańkowskiej oczekiwały ją znowu tłumy, które jej zgotowały owacyą. Pewien robotnik przystąpił i ucałował rękę panny Omańkowskiej w dowód szacunku. Panna Omańkowska bardzo była wzruszona.

Przed policyą znajdowało się w chwili wypuszczenia panny Omańkowskiej tylko dwóch policyantów, a przed jej mieszkaniem czterech. Wieczorem odbył się na cześć panny Omańkowskiej wieczorek w Eldorado.

Redaktor naszego pisma, p. Bolesław Rakowski, złożył pannie Omańkowskiej hołd uznania w jej pomieszkaniu.

Liczne są oznaki czci, jakie panna Omańkowska otrzymała z bliska i z daleka. Oto telegramy i listy:

*Wielmożna Pani*
*Janina Omańkowska*
*w Poznaniu.*

*Imieniem Stronnictwa chrześcijańsko-społecznego w Krakowie wyrażamy Wielmożnej Pani nasze współczucie z powodu prześladowania za naukę języka polskiego pod zaborem pruskim.*

*W Krakowie, d. 12 października 1900.*

*Stowarzyszenie chrześcijańsko-społeczne w Krakowie.*

*Prezes* *Sekretarz*
*Dr. Ant. Dobija.* *Dr. Adam Schmidt.*

* * *

*Panna Janina Omańkowska*
*w Poznaniu, więzienie.*

*Strassburg, w Alzacyi, 12. 10. 1900.*

*Mężnej Polce przesyła słowa pociechy, wysokiego uznania i prawdziwego poważania.* *Parczewski.*

* * *

*Racibórz, dnia 12 października 1900.*

*W dniu odzyskania swobody, której Pani nie wahałaś się złożyć w ofierze na ołtarzu Ojczyzny, my niżej podpisane pospieszamy w imieniu wielu innych rodaczek z Górnego Ślązka przesłać Wielmożnej Pani wyrazy szczerego uznania i czci głębokiej pomne na słowa poety:*

*Święta miłości kochanej Ojczyzny,*
*Czują cię tylko umysły poczciwe,*
*Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,*
*Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe!*

*Stefania Eckertowa. Marya Siarowa. Paulina Wrzodkowa. Antonina Górnicka.*

* * *

*Janina Omańkowska*
*w Poznaniu,*
*więzienie policyjne, Plac Wilhelmowski.*

*Lidzbark, Pr. Zach., 13. 10. 1900.*

*Ofiara twoja wyda obfity plon.*

*Olszewscy.*

* * *

*Janina Omańkowska*
*w Poznaniu, więzienie policyjne.*

*Złotów, Pr. Zach., 13. 10. 1900,*

*Serdeczne wyrazy współczucia.*

*Panglisz i żona.*

* * *

*Złotów, Pr. Zach., 15, 10. 1900.*

*Przezacnej Pani Omańkowskiej za Ojczyznę i język ojczysty, szczęść Boże po kaźni więziennej!*

*Następują podpisy kilkunastu księży-patryotów.*

* * *

*Wielce Szanowna Pani, a kochana Siostro nasza! Niech Cię Pan Bóg i Matka Najświętsza a Królowa nasza wspiera w szlachetnem wykonywaniu obowiązków, prawdziwej, a bezinteresownej miłości ku nieszczęśliwym dzieciom naszym. Z powodu Twego uwięzienia przyjmij od nas, droga i kochana Pani, wyraz prawdziwego szacunku.*

*Marwegowie.*

*Ostrzeszów, 14. 10. 1900.*

* * *

*Janina Omańkowska*
*w Poznaniu, więzienie policyjne.*

*Gniezno, 14. 10. 1900.*

*Cześć i chwała dzielnej i odważnej Polce!*

*Rodacy z Gniezna.*

* * *

*Kórnik, 14. 10. 1900.*

*Cześć i uwielbienie wyrażają Pannie Janinie Omańkowskiej*

*Kórniczanie.*

* * *

*Cześć Ci zacna Polko!*

*Oby Pan Bóg dał, aby wszystkie Polki Tobie podobne były, czcigodna Pani.*

*Grono Obywateli.*

*Buk, 14. 10. 1900.*

* * *

*Panna Janina Omańkowska*
*w Poznaniu, więzienie policyjne.*

*Poznań, 13. 10. 1900.*

*Męczenniczce narodowej przesyła wyraz uznania*

*Redakcya „Postępu“.*

* * *

*Janina Omańkowska*
*w Poznaniu, więzienie policyjne.*

*Poznań, 15. 10. 1900.*

*Zacnej szerzycielce ducha polskiego cześć.*

*Wacław Dolacki. Marcin Noskiewicz.*

* * *

*Więzieniem za cnotę zostałaś skarana,*
*Sarmatko przeczysta i niepokalana.*
*Nas dumą napełnia dźwięk Twego Imienia,*
*Więc ślemy Ci słowa czci i uwielbienia!*

*Poznań, 14-go października 1900.*

*Fr. Witecki, prezes Tow. „Halka“ Bydgoszcz. Jan Kollat. Henryk Kollat. Rogaliński Hieronim. M. Przystanowski. Franciszek Ślósarczyk. Józef Krause. Stan. Kubicki. Bronisław Salkowski. Fr. Krysiak. Stanisław Krause. Walery Tybiszewski. Zygarłowski.*

* * *

*Poznań, 14. 10. 1900.*

*Szanowna Pani!*

*Przyjm nasze słowa współczucia i uznania.*

*Serdeczne pozdrowienie.*

*Marya Sczaniecka.*

* * *

*Poznań, 14. 10. 1900.*

*Łaskawa Pani!*

*My robotnicy z Poznania zasyłamy nasze najszczersze uznanie za owe wielkie poświęcenie się w sprawie naszych dziatek. Jest to jeden znów dowód męczeństwa za tak szlachetny czyn, który pozostanie nam na zawsze w pamięci.*

*Nie jesteśmy narodem bogatym, abyśmy mogli złożyć jaką ofiarę, ale serca nasze przepełnione czcią ku Pani będą zanosić modły do tronu Stwórcy o zdrowie i siłę do dalszej pracy na niwie ojczystej.*

*Niech nam żyje jak najdłuższe lata! Fr. Łuczyński. Adamczak Wojciech. M. Michalak. St. Koziczak. ††† S. Ostymowicz. A. Hudzicki. St. Leitgeber. T. Cieślik. St. Jackowiak. M. Marenak. R. Relowicz. F. Kasprowicz. T. Szkaradek. Władysław Maćkowiak. Jan Bielak. I. Tatarczyk. P. Gromadziński. Michał Kurek. Józef Kaczmarek. W. Kozieras. I. Tasz. Antoni Mańczyński. Andrzej Dyczak. Jan Rychter. Jan Kamiński. Stanisław Antkowiak. Antoni Mocniejszy. Józef Grzybowski. Antoni Drabik. Maciej Koralewski. Bartłomiej Korcz. Michał Przydryga. Wincenty Wichliński. Józef Gruszczyński.*

* * *

*Wielmożna ... na Omańkowska*
*w Poznaniu.*

*Cześć i chwała patryotycznej zasłudze i poświęceniu się. Oby przykład Szanownej pani, wskazujący, jak na każdem stanowisku, w każdem położeniu służyć można i trzeba uciśnionej naszej Ojczyźnie, znalazł jak najliczniejszych naśladowców, oby wzniecił prawdziwą miłość Ojczyzny w szerokich kołach, oby pobudził zamiłowanie do obowiązków względem bliźnich wogóle, a naszej dziś . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . napadniętej dziatwy szkólnej w szczególe. Bóg Ci błogosław, zacna Pani.*

*Kraków, d. 14/10. 1900.*

*Prof. B. Wicherkiewicz.*

* * *

*Hołd i uszanowanie czcigodnej Pani Omańkowskiej składa, lubo nieznajomy,*

*Aleksy Mielcarzewicz,*
*radzca sądu.*

*Gniezno, 15/10. 1900.*

* * *

*Lwów, 13. 10. 1900.*

*Pannie Janinie Omańkowskiej wyrazy hołdu.*

*Jan Kasprowicz. Dr. Rakowski.*

## Z TYGODNIA.

W pewnem rusofilskiem piśmie, które wychodzi w Wiedniu, pojawił się artykuł p. t: „Do historyi prześladowań Polaków poznańskich“, w którym autor na tle istniejącego, choć ukrytego antagonizmu pomiędzy Rosyą a Prusakami na punkcie Polaków w Wielkopolsce zabawia się szerzeniem sensacyjnej wiadomości, że cesarz Wilhelm niedawno temu wyciągał ręce po — — — tytuł króla polskiego, przynależny dziś rosyjskiemu cesarzowi.

Pojawienie się takiej pogłoski i to w piśmie subwencyonowanem przez sfery, blizki utrzymujące stosunek z petersburskiemi sferami dworskiemi, wskazuje na to, że oprócz nas, Polaków, jest w Rosyi mianowicie jakaś partya, której polityczna rachuba prze do zaostrzenia stosunków pomiędzy Rosyą a Niemcami i w ich zatargu dla siebie korzyści upatruje.

Artykuł brzmi jak następuje:

„Z dobrego źródła otrzymaliśmy objaśnienie pruskiej polityki w Wielkopolsce.

„Położenie Polaków poznańskich za-

wsze zawisło od stosunków Niemiec ku Rosyi. Jeżeli stosunki te były naprężone, to z Polakami obchodzono się łagodnie. Gdy stosunki polepszały się, Polacy zaczynali odczuwać hakatyzm. Cesarz Wilhelm, nie lubiąc niepewności, chciał zrobić koniec podobnej polityce i stać się lub protektorem Polaków i ich aspiracyi w przyszłości, lub ich zniszczycielem. Wilhelm II miał zamiar ogłosić się królem polskim, wysnuwając swe prawa z tego, że Wielkopolska była kolebką Polski. Ponieważ atoli i cesarz rosyjski nosi tytuł króla polskiego, to trzeba było naprzód upewnić się, że ze strony rosyjskiej nie nadejdzie protest. Więc w lutym roku bieżącego włożono na hrabię Bülowa trudne zadanie dowiedzieć się, jak odniósłby się rząd rosyjski do wniosku o formalnem wyrzeczeniu się króla polskiego wszystkich praw do Wielkopolski na wieczne czasy. Jednakowoż już na samą wzmiankę o tem otrzymano z rosyjskiej strony stanowczą odmowę. Z tych czasów datuje się przemiana cesarza do jego polskich poddanych. „Jeżeli nie można nic skorzystać z Polaków w przyszłości, to lepiej ich zniszczyć.“ Widocznie, że w tej walce słowiaństwa z germaństwem poznańskim Polakom nie pozostanie nic innego, jak stanąć po stronie tych (?), do kogo należą po pochodzeniu i od kogo całe wieki ich odrywali Niemcy, bądź pod płaszczykiem łacińswa i jezuityzmu, bądź pod hasłem „zachodniej cywilizacyi“ w przeciwstawieniu do wschodniego barbarzyństwa.“

Ostatni ustęp obliczony jest chyba na głupotę ludzką, bo nie miałby racyi, gdyby nawet wszystko powiedziane wyżej było prawdą. Wszak zaostrzenie stosunków Rosyi do Niemiec pozostawia nam zawsze nadzieję, że Niemcy z polityki i ze strachu, czy też z musu pod delikatną rączką petersburską, polepszyć będą musieli nasze położenie. Więc pogorszenie się tych stosunków prusko-rosyjskich raczej nadzieję polepszenia bytu, niż zrezygnowanie z godności narodowej i oddanie się na łaskę i niełaskę Petersburga w nas rozbudzić by powinno.

Stosunki rosyjsko-niemieckie nie są najlepsze obecnie z powodu wojny w Chinach. Nawet oferta, uczyniona Chińczykom przez rząd niemiecki, że zadowolni się on ukaraniem winnych i odszkodowaniem, zamiast wycinać „bez pardonu“ wszystkich mieszkańców czterysto milionowego państwa, — nawet ta skromna oferta, zrobiona po tak szumnych zapowiedziach nie odniosła w Pekinie skutku. Widocznie po za tem stoi Rosya i Chińczyków uczy, jak mają wykierować Niemców na dudków.

Chińczycy nie zgadzają się w rzeczywistości na żadne zadośćuczynienie, lecz pragną tylko przez układy zapobiedz energicznej akcyi wojennej aż do nastania zimnej pory roku. W głębi państwa, pomiędzy Pekinem, a nową rezydencyą Singanfu, zbierają się rzekomo potężne armie, które mają z początkiem zimy wyruszyć ku wschodowi, aby wyprzeć z kraju wojska mocarstw. Także na południu, w dolinie Jangtse-kiangu, Chińczycy przygotowują się do wojny, koncentrują wojska, naprawiają fortece. Niemcy zamierzają przedsięwziąć większą wyprawę w głąb państwa i dotrzeć w razie potrzeby do Singanfu, aby schwytać cesarza i wysokich urzędników, podejrzanych o sympatye dla bokserów.

Zamiar ten spotyka się wszędzie z bardzo nieprzychylną krytyką. Singanfu jest oddalony od Pekinu o 1,000 kilometrów, wnętrze kraju jest bardzo górzyste, gęsto zaludnione, pozbawione dróg i bardzo mało tylko znane. Większość mocarstw nie zgodziłaby się na udział w tak niebezpiecznem przedsięwzięciu, a wojska Niemiec i państw sprzymierzonych z nimi nie wystarczyłyby nawet na obronę linii komunikacyjnych. Gdyby zaś nawet udało się Niemcom dotrzeć do Singanfu, to cel wyprawy jednak nie byłby osiągnięty. Cesarz mógłby schronić się jeszcze dalej w głąb państwa i gonitwa połączona z olbrzymiemi kosztami mogłaby przeciągnąć się bardzo długo i ostatecznie nie zapewniłaby Niemcom żadnych korzyści.

Bardzo zręcznie też podstawił Niemcom nogę ich sąsiad od południa, Francuz, widocznie za namową Rosyi, gdyż Rosya sama woli pozostawać w cieniu.

Otóż na propozycye niemieckie odpowiedział minister francuski propozycyą ułożenia ostatecznych warunków pokoju.

Oczywista, że to nie jest możliwe, więc w Berlinie wobec tej propozycyi kiwają głowami i pytają: *kpi, czy o drogę pyta?* — Zapewne, że kpi.

Możliwem jest jednak, że rząd francuski obecny zostanie zwalony, wskutek czego mogłaby nastąpić zmiana polityki francuskiej. Związane to jest ze zwołaniem parlamentu francuskiego.

Rząd francuski postanowił zwołać izbę poselską, po zamknięciu wystawy, w pierwszej połowie listopada. Pisma opozycyjne nie są z tej uchwały bardzo zadowolone i przypominają, że obrady parlamentu rozpoczynały się dawniej zwykle dwa tygodnie wcześniej, w drugiej połowie października, zarzucają gabinetowi pragnienie zachowania jaknajdłużej swobody działania i obawę przed reprezentacyą narodu i ostatecznie dochodzą do wniosku, że parlament powinien być zwołany 23 października. Rząd, ujmując ster państwa, znalazł się wobec armii rozgoryczonej przez rozwój sprawy Dreyfus'a i rozpolitykowanie do najwyższego stopnia, wobec perspektywy zamachu stanu przeciw republice przy pomocy ambitnych generałów. Były to stosunki niebezpieczne, a w każdym razie bardzo niezdrowe i energiczny prezes gabinetu postanowił użyć wszelkich środków, aby wyrwać armię z pośrodka walki politycznej.

Okazało się ostatecznie, że jednym zamachem przywrócić stosunków prawidłowych nie można i trzeba rozpocząć reorganizacyę nie z góry, lecz z dołu, nie na stanowiskach najwyższych, lecz w szkołach wojskowych. Akademia wojskowa w St. Cyr jest zakładem, pozostającym pod wpływem arystokracyi i duchowieństwa, które mimo uznania republiki przez Stolicę Apostolską, jest usposobione monarchicznie.

Rząd więc postanowił złamać te wpływy, i minister wojny jednem pociągnięciem pióra zrównał szkołę w St. Cyr z niższemi zakładami, zamianował profesorów republikańskich i nakazał, aby młodzi oficerowie nie przechodzili całej szkoły, lecz odbywali kursa ostatnie w innym, czysto republikańskim zakładzie. To wywołało straszne protesty.

Gabinet Waldecka-Rousseau musi liczyć się z możliwością porażki. Upadek jego wyszedłby może na korzyść armii; nie wiadomo jednak, czy na korzyść Francyi. *K. O.*

## PRZEGLĄD PRASY.

Sprawę stosunku politycznego Polaków do socyalistów omówiły z okazyi socyalistycznych wieców już prawie wszystkie pisma w naszej dzielnicy i wszystkie zasadniczo na to samo się zgodziły. Głos prasy w danym wypadku jest bezwątpienia wyrazem zapatrywań ogółu, to też dziś już można stwierdzić, że socyaliści oszukali się grubo, rozumując, że opuszczeni przez wszystkich, przyjmiemy socyalistyczną pomoc i nieproszonym przyjaciołom rzucimy się w objęcia. Pisze o tem **Dziennik Poznański:**

„Chociażby na wiecach i w parlamencie jak najgłośniej ujmowali się za nami, nie zdołają nas przekonać o szczerości swej „przyjaźni“, ani pozyskać dla swych celów. Byłoby to bowiem zupełnem zaprzepaszczeniem naszej narodowej sprawy.

„Niechże się nie łudzą co do tego. Właściwe ich usposobienie względem ludności polskiej znamy aż nadto dobrze. Krótko przecież przed powzięciem powyższej uchwały przyjął wiec w Moguncyi inną, która dziwne światło rzuca na tę ich nagłą „przyjaźń“ dla Polaków. W poprzedniej tej uchwale żądano, aby na okrętach i w warsztatach okrętowych zatrudniano tylko robotników po niemiecku mówiących, a więc Niemców, aby z góry wykluczono wszystkich innych,

którzy językiem niemieckim nie władają, a więc między innymi także Polaków. A żądanie takie nie jest przecież nowością. Wiedzą o tem dobrze nasi wychodźcy w Westfalii i nad Renem, tym bowiem na każdym kroku socyaliści tamtejsi zazdroszczą zarobku. Nie tak dawno to zresztą temu, gdy pisma socyalistyczne pochwalały wszelkie zarządzenia dyrekcyi kopalń, wymierzone przeciwko polskim robotnikom.

„Nie możemy zabronić socyalnej demokracyi wytoczenia sprawy reskryptu pana Studta w parlamencie, lecz też do tej obrony najmniejszej nie przywięzujemy wagi. Niechże nas ona „ani nie ziębi, ani nie parzy“ — nie pozwólmy się wywabić przez taki podstęp na gołoledź, ani pozbawić dotychczasowej równowagi. Jak z jednej strony śmiesznem wprost jest bezustanne straszenie rządu socyalizmem w niektórych polskich gazetach, tak z drugiej smutny to wprost objaw, gdy się kto cieszy z pomocy socyalistów. Rząd wie dobrze, że na sojuszu z socyalną demokracyą żywioł polski sam najwięcej by stracił.“

O tem, że sami najwięcej byśmy stracili przez jakiekolwiek łudzenie się nadzieją pomocy ze strony socyalistów panuje — jak się zdaje — zupełna zgodność przekonań. Nie wyklucza to jednak pewnych postępów socyalnej demokracyi, agitacya ich bowiem, stając na niby narodowym gruncie, tak zręcznie zarzuca sieci na łatwowiernych, że znaleźć ich może tysiące. Głosiły też pisma niemieckie, że ministrowie pruscy na zjeździe w Poznaniu zajmowali się między innemi i kwestyą postępów socyalnej demokracyi w Poznańskiem. Szkoda, że obrady ministrów, jak dotychczas, pokryte są mrokiem tajemniczości, za którym może nie ukrywa się nic, prócz pustych frazesów. Tak się też na wynik owych konferencyi zapatruje berlińska **„Germania“**:

„Półurzędowe alluzye do treści i celu konferencyi ministeryalnych w Poznaniu są tak ogólnikowe, że ztąd można tylko wysnuć ten ogólny wniosek: Dotychczasową „politykę polską“ ma się prowadzić nadal i rozprzestrzenić, a może jeszcze obostrzyć i to przy dalszej pomocy środków państwowych. Co do szczegółów tych uchwał, nastąpią niezawodnie dalsze objaśnienia i wtenczas nastręczy się też obowiązek pomówienia o nich bliżej.

„To pewna, że niemieckiemu stanowi rzemieślniczemu, jak i niemieckiej drobnej własności w Poznańskiem, jak i w całej Rzeszy niemieckiej życzymy wszystkiego, co potrzebne do ich utrzymania, utrwalenia i rozmnożenia, ale tego samego życzymy także polskiemu rzemiosłu i polskiej drobnej własności. Tego wymaga sprawiedliwość, konstytucyjna zasada: równe prawo dla wszystkich!

„Jednostronne popieranie i uprzywilejowywanie jednej kategoryi obywateli państwowych wedle niemieckiego języka lub pochodzenia sprzeciwia się zasadzie konstytucyi, że wszyscy obywatele pruscy — a do tych należą także pruscy obywatele polskiej narodowości — są równi w obliczu prawa. Konstytucya nie zna wśród pruskich obywateli różnicy narodowości. „Wszyscy obywatele pruscy są równi w obliczu prawa“, powiada artykuł 4 pruskiej konstytucyi. „Polityka polska“ zadaje kłam tej zasadzie i narusza ją, gdyż robi różnice między polskimi a niemieckimi obywatelami państwa. To podpada tem bardziej, gdy chodzi o materyalne uprzywilejowanie i faworyzowanie jednej kategoryi obywateli państwa przeciw drugiej, jak to się teraz projektuje w Poznańskiem, jak się zdaje.“

My znamy już dobrze w praktyce codziennej to jednostronne faworyzowanie i popieranie niemieckiego rzemiosła i niemieckiej drobnej własności i to z ogólnych funduszów państwowych, na które — jak to mówią — łyka z nas, Polaków, ciągną. To też ani rząd pruski, ani pisma, chcące rządzić się wobec nas zasadą bezstronności, nie powinny się dziwić, jeśli coraz bardziej szerzy się przekonanie, że celem tych wszystkich konferencyi ministeryalnych jest nie co innego, jak tylko materyalne upośledzenie polskiego rzemiosła i polskiej drobnej własności.

Do takich też wniosków doszła cytowana powyżej „Germania“. Ale czy te głosy prasy zdolne są wpoić rządowi zasady konstytucyonalizmu? Wątpimy.

Owe ministeryalne konferencye z drugiej strony pobudziły rozmaitych hakatystycznych pismaków do wypracowania rozmaitych planów germanizacyi w przyśpieszonem tempie. Jesteśmy przekonani, że połowa tych artykułów uważana jest w przedpokojach ministeryalnych za wiekopomne odkrycie i wskazanie nowych dróg dla polityki Prus na wschodzie, podczas gdy to jest marna paplanina, nie zasługująca na baczniejszą uwagę ze względu, że wszelkie propozycye, wychodzące od ludzi, którzy o stosunkach istniejących nie mają żadnego pojęcia, muszą mieć z natury rzeczy wartość owej sławnej propozycyi, stawionej przez bodaj „Tageblatt“ poznański, aby „zmusić papieża do wyznaczenia obok polskiego arcybiskupa w Poznańskiem jeszcze jednego arcybiskupa — Niemca.“

Bardzo trafnie ocenia wartość tych artykułów **„Wielkopolanin“**, zaznaczając, że ich pojawienie się zdradza tylko strach przed Polakami. O jednym takim artykule tak pisze „Wielkopolanin“:

„Przyznaje on, że wszystkie wysiłki, aby nas zgermanizować, były daremnemi, że plugawy smok polakożerstwa powyłamywał sobie już częściowo zęby o polską opokę. Przyznaje, że nie są już w stanie zaszkodzić nam ani krzyżacy (HKT?) ani kupcy, ani rzemieślnicy. Jako ostatni skuteczny środek uważa już tylko szkołę.

„I cóż na to powiedzą ludzie słabego ducha, lękliwi, którzy mówią: „A może nas zgiermanizują?“ Toć to już jawne wyznanie, że ci, którzy pragnęliby nas połknąć, więcej się nas boją, niż my ich.

„Nie popchnęło sprawy germanizacyi naprzód wychodźtwo robotników polskich na zachód, choć nawet Polacy obawiali się z tej strony szkody, na nic się też nie zdadzą nowe wysiłki! Pokazał się już tyle razy, że „mocniejszy Pan Bóg niż pan Rymsza“ i znów pokaże się to samo.

„Możemy się spodziewać jeszcze całego szeregu wściekłych szowinistycznych napaści, najwścieklejszych może, bo ostatnich wysiłków, ale nie traćmy ducha!

„Śmiało i odważnie spojrzmy w ślepie hakatystycznemu smokowi, który swą paszczę chciwą ku nam rozwiera, nienawiścią ziouąc.

„Niech się pieni, niech ryczy, niech się okaże w całej swej ohydzie! Im więcej w swej wściekłości miotać się będzie ten potwór, tem prędzej pęknie, tem prędzej nasza sprawa zwycięży!

Zapatrywania powyższe najzupełniej odpowiadają naszym. My widzimy, że z dniem każdym ubywa germanizatorom siły, zapomocą której mogliby prowadzić dzieło zniszczenia i sami już nie wiedzą, jakich się mają chwycić sposobów walki, — podczas gdy u nas w szerokich warstwach ludu wzmaga się samowiedza narodowa. Starajmyż się pionierów tej samowiedzy — prasę naszą — popierać wszędzie, czy w Poznańskiem, lub w Prusach, czy na Śląsku. A poparcia tego potrzeba bardzo, jak przekonywujemy się z poniższej odezwy **„Gazety Opolskiej“**:

„Jużto rok jedenasty dobiega, jak w Opolu, prastarym grodzie piastowskim, założona została „Gazeta Opolska“ celem szerzenia, oświaty i za oświatą idącego dobrobytu pośród ludu polskiego. Jedenaście lat — długi to przeciąg czasu, w którym niejedno się zrobiło, ale — niestety — niejedno zrobić się nie mogło. Pomimo światłej i niezmordowanej pracy założyciela i kierownika „Gazety Opolskiej“ nie rozwinęła się ona tak, jak tego słusznie oczekiwać było można. Przyczyny tego szukać trzeba poniekąd w ubóstwie ludu naszego, któremu żal poświęcić kilka groszy na zaabonowanie sobie pisma polskiego. Ale najgłówniejszą przyczyną jest obojętność i brak energii. Te wady wytworzyły zastój w sprawach naszych, że osiedliśmy na mieliźnie i nie postępujemy naprzód, a jeżeli kiedy popchniemy taczkę o krok, to wytężamy wszystkie siły i tracimy zwykle wiele czasu. W dzisiejszych czasach wszystkie narody pracują na wyścigi, ażeby jak najdalej postąpić, ażeby się nie dać uprzedzić przez inne narody, a my Górnoślązacy, którzy przecie także jesteśmy odłamem wielkiego narodu, tak mało — tak bardzo mało! — czynimy dla oświaty, dla postępu.

„Największy tedy czas, ażeby się obudzić z niesławnego letargu, zorganizować i zreformować się i postępować naprzód zarówno z braćmi naszymi na Slązku austryackim lub w Poznańskiem — nie dajmy się prześcignąć! Chwilowo najwłaściwszy środek, jaki mamy, są gazety polskie; te powinniśmy rozszerzać na Górnym Sląsku wszędzie, gdzie tylko sięga mowa polska. Gazety dają pogląd na świat, ażeby wiedzieć, jak się sprawy mają; gazety czuwają nad bezpieczeństwem najświętszych skarbów naszych czuwają bowiem nad naszą mową ojczystą, nad naszą wiarą i nad naszemi prawami obywatelskiemi; gazety przestrzegają, jak postępować powinniśmy, ażeby się dorobić oświaty i dobrobytu.“

Na równi z popieraniem gazet iść powinno popieranie książek polskich.

Książka polska nie doznaje pod zaborem pruskim takiego poparcia u społeczeństwa, jakie się jej bezwarunkowo należy. Księgarze skarżą się na mały zbyt książek, wydawców spotykają zawody, ba, nawet czytelnie bezpłatne(!) mają prawo do skarg. I to co gorsza nietylko w kraju,

ale nawet na obczyźnie, gdzie z natury rzeczy książka polska powinna być w większem poszanowaniu. Pisze o tej aktualnej sprawie **„Dziennik Berliński“**:

„Nasi wieszcze, zarówno w czasach dawniejszych jak i obecnie, czytani są w całym świecie z największem zajęciem, tłumaczą ich na wszystkie języki, każdy naród ucywilizowany myślami ich się napawać chce, — jednem słowem mamy co czytać, mamy skarby, których nikt nam wydrzeć nie może, a tylko wiele ludów zazdrości.

„A jednak! Spojrzmy okiem na kolonią berlińską, a zobaczymy, jak ona język swój ojczysty szanuje, (a raczej nie szanuje), jak go powoli zatraca lub psuje. — Wprawdzie warunki są ciężkie, ale nie korzystamy nawet z tego, co inni zrobili w tym kierunku, nie popieramy ich usiłowań, często z wielkiemi ofiarami połączonych. Nie będę już wspominał o samem piśmie naszem, o „Dzienniku“, który przy liczbie Polaków w Berlinie, przynajmniej dziesięćkroć więcej abonentów mieć powinien, — ale zwrócę uwagę na inny objaw lekceważenia języka naszego. Uderzyła mię niedawno mała liczba polskich czytelni w Berlinie, liczba zdaniem mojem absolutnie nie wystarczająca dla potrzeb kolonii naszej. Przypuszczałem, że każda z czytelni tych posiada taki nadmiar czytelników, że żądaniom ich wcale podołać nie może, że w godzinach wydawania książek znajdą tłumy czekające na swą strawę umysłową. Tymczasem smutne, przygnębiające mnie spotkało rozczarowanie: wszędzie pustki; nieliczne jednostki, przywiązane do języka swego, stanowią jedyny poczet czytelników. Że jednak naprzód byłem w bibliotekach przy towarzystwach, a należenie do towarzystw związane jest z pewnemi, chociaż drobnemi kosztami i te, przypuszczałem, ludzi odstraszają, więc zwróciłem się do bogatych w książki, a bezpłatnych, przez ludzi dobrej woli, założonych bibliotek polskich w Berlinie i w Charlottenburgu. I tutaj spotkało mnie toż samo co w towarzystwach. Biblioteki, założone i utrzymane ku pożytkowi i zabawie jak najszerszego ogółu, z braku czytelników rozwijać się nie mogą, energia na jałową glebę padła.“

A zatem: zachęcajcie rodacy do uczęszczania do czytelni polskich w Berlinie!

*B. M.*

# Korespondencya specyalna „Pracy“.

*Z G. Ślązka*, 14 października.

Reskrypt ministra Studta, kasujący w szkołach poznańskich polską naukę religii, oraz naukę pisania i czytania polskiego, ma tę dobrą stronę, że pobudza nas do czujności i rozbudza w masach ludu poczucie polskie. Nie chcę przez to twierdzić, żeby reskrypt ministeryalny nie miał społeczeństwu naszemu żadnej szkody wyrządzić. Straty będą, bo w tej walce, jak w wojnie, ofiary będą padały, lecz nie mogą i nie powinny być tak wielkie, żeby wpłynąć mogły na osłabienie ogólnych naszych sił narodowych. W Poznaniu zwołujecie wiece, rozbudzacie poczucie świadomości narodowej, tworzycie „Samopomoc rodzicielską“ i z godnością odpieracie ataki, godzące w duszę ludu polskiego.

To nie pozostaje bez wpływu i znaczenia dla ludu polskiego na G. Ślązku. Prasa polska górnośląska zapisuje skrzętnie każdy szczegół, każdą odrobinkę, odnoszącą się do obrony polskiej w Poznańskiem, podaje sprawozdania z waszych wieców, podnosi ich znaczenie, a zestawiając położenie wasze z położeniem ludu gòrnośląkiego, zachęca też ostatni i wzywa do pielęgnowania mowy ojczystej i narodowości polskiej, bo sytuacya jest taka, że system germanizacyjny w całym zaborze pruskim jest wymierzony przeciwko całemu ludowi polskiemu, czy to w Poznańskiem, czy w Pr. Zachodnich, czy u nas na Górnym Ślązku.

U nas na G. Ślązku dzieci polskie od lat nie słyszą w szkole słowa polskiego. Nauka religii nawet w najniższych klasach we wszystkich szkołach, z bardzo maleńkiemi wyjątkami, odbywa się w języku niemieckim. Germanizacya tłoczy się wszystkiemi szczelinami. Przytem w daleko gorszem znajdujemy się położeniu, aniżeli wy w Poznaniu. Wolno wam jeszcze wiece i zebrania odbywać, macie dość silny i wyrobiony stan kupiecki, przemysłowy i rzemieślniczy, obracacie się w otoczeniu polskiem, macie zasób księży, którym zarzutu germanizowania robić nie można. To wszystko przecież ważne są czynniki w naszem życiu polskiem. Tego wszystkiego my na G. Ślązku nie mamy, a jednak żyjemy, i nie można powiedzieć, żebyśmy szli w dół, lecz podnosimy się wprawdzie powoli, ale zawsze się podnosimy.

Co więcej, nawet tę resztkę polskości, jaka jeszcze pozostała przy nauce przygotawczej do Sakramentów św., chcianoby nam zabrać. Właśnie w tych dniach polskie pisma górnośląskie podały ważną wiadomość, że nauczyciele elementarni „z wyższego rozporządzenia“ sporządzają dla księży spisy, przepisujące, które dzieci mają być po polsku, a które po niemiecku przygotowywane do pierwszej spowiedzi i komunii św. Że spisy te są sporządzane na niekorzyść naszą polską, dodawać chyba nie potrzebuję. Dziecko, które jako tako nauczyło się szwargotać po niemiecku, uznawają w owym „spisie“ za dziecko „niemieckie“ i przekazują je księdzu do niemieckiego oddziału. Księża górnośląscy z małemi wyjątkami i tak nie grzeszą zbytnią życzliwością i pieczołowitością dla sprawy polskiej, pracowali i pracują pełną parą *pour le roi de Prusse*, więc i bez tych „spisów“ robili swoje na korzyść niemczyzny. „Spisy“ te niejednemu księdzu germanizatorowi ułatwią stanowisko jego. Będzie się powoływał na spis urzędowy i dziecko, które jako tako wytresowano w szkole po niemiecku, przyłączy z „czystem“ sumieniem do oddziału niemieckiego, bo „spis“ urzędowy — go zasłoni. Jest to więc dążność w kierunku niemczenia ludu polskiego przez księży w całem tego słowa znaczeniu.

Tych „spisów“ urzędowych było już za wiele nawet takiemu organowi jak „Schles. Volksztg.“ Dziennik ten znany jest z tego, że stoi w blizkich stosunkach z kardynałem Koppem. W jednym z ostatnich numerów wystąpił ostro i jędrnie przeciwko wywieraniu takiego nacisku na księży ze strony władz szkolnych. Artykuł cały, jak powtarzam, był napisany jędrnie, jak na „Schles. Volksztg.“ tak jędrnie, że nawet ludzie zdumieli, zkąd się wzięło tyle energii w tym organie przy sprawie, dotykającej najżywotniejszych interesów ludu polskiego. W końcu swego artykułu pisze „Schles. Volksztg.“, że księża górnośląscy nigdy nie zgodzą się na to, żeby władza szkolna miała im przepisy robić, w jakim języku będą dzieci przygotowywali do sakramentów św.

Chwalebnie to ze strony „Schles. Volksztg.“, lecz niestety z żalem stwierdzić muszę, że księża górnośląscy z małemi wyjątkami znani są z tego iż przy niemczeniu dzieci ludu polskiego idą razem z germanizacyjnym systemem szkolnym. Otóż choćby jeden tylko przykład. W kilka dni po pojawieniu się artykułu w „Schles. Volksztg.“ nadeszła wiadomość, że ks. dziekan Glowatzky (ma być: Głowacki) z Wysokiej odbywał wizytacyą kościelną w Strzelcach i przy tej sposobności egzaminował dzieci z wyższych klas w kościele w nauce religii. Ks. dziekan zadekretował, że *egzamin wypadł ku zupełnemu jego zadowoleniu.*

A więc nauka religii, udzielona dzieciom w szkole w języku niemieckim, zadowoliła jak najzupełniej ks. dziekana, który tem samem daje do zrozumienia, że dzieci, które robią takie postępy w niemieckiej nauce religii w szkole, można przygotowywać i do sakramentów św. w języku niemieckim. Dodać należy, że ks. dziekan Glowatzky jest posłem ludu górnośląkiego i w sejmie pruskim już nieraz wygadywał porówno z ministrami na „wielkopolską agitacyą“ i przestrzegał przed niebezpieczeństwem, grożącem z tej strony państwu pruskiemu. Komentarz chyba tu niepotrzebny.

W końcu zapisać mi wypada wiadomość, która także jest ciekawą ilustracyą stosunków naszych. Wiecie, że w Król. Hucie wychodzi „Gazeta Katolicka“, organ księży gòrnośląkich, założony przez nich przed pięciu laty na ubicie „Katolika.“ Gazeta ta przez słowo polskie miała na oku germanizowanie ludu polskiego. Nie wiele co pod tym względem zrobiła, bo lud nie bardzo się do niej kwapił. Ma też pomiędzy swymi czytelnikami organistów i kościelnych — no i część księży. W ostatnim czasie redaktorem tej gazety był p. Ligoń, syn poety górnośląkiego. O ile mógł i o ile go nie zdołano skontrolować, umieścił raz po raz w gazecie gorętsze słowo o polskości. Nagle p. Ligoń musiał ustąpić i opowiadają sobie, że dlatego, ponieważ był za gorącym patryotą i za wiele o polskości pisał. Miejsce jego objął p. Czerniejewski, który wydawał „Gwiazdę Piekarską“, wysługującą się wszystkim, jeno sprawie polskiej nigdy. Przypuszczać należy, że „Gazeta Katolicka“ będzie zadowoloną z p. Czerniejewskiego. Wart pałac Paca!

*Obserwator.*

# Głosy od Przyjaciół.

*List do naszych braci siermiężnych.*

Chwalić Pana Boga, wśród czytelników „Pracy“ mam przyjaciół sporą gromadkę zapewne dlatego, że i ja całem sercem jestem „Pracy“ oddany. A że jestem prezesem Towarzystwa górników rozsianych po różnych cechach, przeto często piśmiennie zbliżamy się do siebie. Owóż od tych przyjaciół odbieram różne listy, z wiadomościami pocieszającemi, a czasem znów tak smutnemi, że aż się serce kraje, gdy się je odczytuje. Boć i jakże niema się człowiek smucić, gdy się czyta o niegodziwości pruskiej, albo, że to tu, to tam sąsiedzi, co niby powinni sobie być przyjaciółmi i wspierać się w każdej potrzebie i frasunku, patrzą na siebie, jak wilcy z wyszczerzonemi zębami i najeżoną szerścią; w łyżce wody potopiliby się...

A czasem dowiaduję się z owych listów o dowcipie ludzi. Oto np. czytelnik Józef pisze, że w jego cechu do czytania kamraci są bardzo ciekawi. „Nie mogą się doczekać — powiada — „Pracy“, tak są ciekawi, żeby się dowiedzieć, co się dzieje w ojczystych stronach, co w świecie, co to będzie za powieść „Przez ciernie i głogi“ i t. d. Gdy „Praca“ przyjdzie, wszyscy na wyścigi biegną do niej i czytają, byle... byle darmo. Że są ciekawi — to chwalić Boga, ale żeby znów ten i ów nie mógł dać grosza i na siebie „Pracę“ trzymać — to tego nie powiem. Jać tam nikomu czytania nie żałuję, bo świętą jest rzeczą dzielić się z bliźnimi każdem zdrowem ziarnem nauki lub godziwej rozrywki. Jeno mi to dziwno, czemu ludzie radzi są korzystać z dobrej rzeczy, ale żałują na to, co im pożytek niewątpliwy przynosi?!...

A więc bracia dopilnujcie sprawy, niech każdy z was zaabonuje „Pracę“ i niech obojętnego nakłoni również do tego. My tu na wygnaniu, bracia drodzy, na obczyźnie, powinniśmy każdy poświęcić tę markę na „Pracę“, bo to pismo naszym przyjacielem serdecznym, to pismo przemawia do nas zawsze tak prosto, a tak podnosi ducha, rozwesela i poucza. Ja kocham „Pracę“ całą duszą i polecam to pismo wszędzie i przy każdej sposobności. Jak przeczytam taki artykuł „Vestera“ lub też „Poznańczyka“ w „Pracy“ to aż mi lżej na sercu. Przypomną mi się strony rodzinne, nasz kościołek ubogi, moje domostwo skromne, nasz ukochany ksiądz proboszcz z siwutką głową, który mnie katechizmu uczył i wszyscy moi przyjaciele i znajomi. Wtedy mi łzy w oczach staną i wszystkich bym przycisnął do serca całą siłą duszy. Na Gwiazdkę, jeżeli mi P. Bóg da dożyć, przyjadę do Was w odwiedziny, by się pomodlić na grobie mych najukochańszych rodziców, by odwiedzić kościołek, w którym byłem chrzcony i by ucałować rękę dobrą mego ukochanego proboszcza, który mi przy odjeździe w świat przed trzema laty polecił czytanie „Pracy“, której też odtąd jestem wiernym czytelnikiem. I Was, kochani redaktorzy, odwiedzę, by Wam podziękować za wasze piękne pismo.

Do widzenia więc!

*Wasz Paweł Ciołek*
*z Góry a teraz w Oberhausen w Westfalii.*

*Swadzim pod Poznaniem.*

Szanowna „Praco!“

Aby dać wyraz uznaniu, jakie czuje wobec Twych zasług na polu narodowem i społecznem i aby wyrazić podziękę za działalność Twą, która budzi ducha patryotycznego we wszystkich warstwach naszego narodu, dziedzic nasz (p. L. Pluciński) polecił mi odtąd abonować dla ludzi naszych 3 numery, oprócz tych, które przychodzą do dworu.

Z szacunkiem
*Maryan Zakrocki.*

Składając na tem miejscu publiczną podziękę zacnemu dziedzicowi, wyrażamy nadzieję, że przykład, dany przez niego, zachęci wielu innych do zapisywania polskich gazet dla ludzi dworskich. W czasach gdy sprzysięgła się złość ludzka z rzekomą polityką, aby zarówno w ludzie naszym wytępić poczucie polskości, jak też nasze obywatelstwo wiejskie materyalnie wyniszczyć, — w tych czasach obowiązkiem obywatelskim jest dbać o rozwój narodowej samowiedzy w ludzie prostym, aby jaknajprędzej otrząsnąć się z wpływów germanizacyjnych i rodzinnej kulturze pożytecznych pracowników na wszystkich polach dostarczyć. *Red.*

* * *

*Buk.*

Szanowna Redakcyo!

Nie dziwimy się wcale, że „Praca“ w swym numerze poświęconym „Sokołom“ nie zrobiła żadnej wzmianki o „Sokole“ w Buku. Niestety „Sokół“ tutajszy ledwo dyszy, jakby nie był polskim Sokołem, ale marnem żydowskiem jakiemś kurczęciem. Kolejno byli prezesami p. dr. Wróblewski i p. Gintrowicz, lecz trafiając na niechęć, czy lenistwo, lub osobiste współzawodnictwo wśród członków, urząd złożyli. Dotąd trwa bezkrólewie. Jest to więc Sokół nietylko bez skrzydeł, bo nawet do Poznania nie pofrunął, ale nadto i bez głowy. Panowie z Buku na litość boską, weźcie się przecie do pracy i zaniechajcie osobistych niechęci i otrząśnijcie się z obojętności, bo was w całej Polsce omalują i opiszą. Przypomnijcie sobie tylko, jaki to zapał ogarnął wszystkich, gdy założono „Sokoła.“ Już po kwartale można się było stawić na publiczne popisy. Aż tu nagle zapał znikł, ćwiczących nagle zabrakło i nie udało się już niczem śpiącego Sokoła obudzić.

Niezgodne to gniazdo trzeba byłoby oblać dobrze zimną wodą publicznej nagany, aby je do życia pobudzić, bo chyba wejdzie w przysłowie, że taki Sokół jak Sokół w Buku — to żaden Sokół. Biedny Sokół dotąd pozostaje w stanie odrętwienia, a kilka przez zastępcę przewodniczącego zwołanych zebrań, celem pobudzenia Towarzystwa, lub też rozwiązania tegoż, zostały bez skutku dla tego, że nie zebrała się dostateczna liczba członków. Teraźniejszym zastępcą prezesa a więc tem samem nominalnym prezesem jest kupiec, pan Józef Skwierczyński w Buku. On sam osobiście robi, co może, ale z takimi członkami to i anioł by nie poradził.

Więc, kochana „Praco“, proszę pryskać tego zdrętwiałego Sokoła zimną wodą twej publicznej nagany. Jeżeli to lekarstwo nie poskutkuje, to już trudno.

Z szacunkiem
*Sokół* (nie z Buku.)

* * *

*Z Inowrocławia,* w październiku.

Bardzo rzadko w polskich, chyba raz po raz w gazetach niemieckich spotyka się wiadomość jaką o stosunkach inowrocławskich. Wnosićby ztąd prawie należało, iż wobec rozpierającego się w naszych stronach hakatyzmu zamiera wszelkie życie obywatelskie polskie lub niknie u polskich obywateli energia i poczucie własnego poszanowania tak dalece, że nawet i krzywdy milczkiem pomijają lub pobłażaniem największem potulnie je znoszą. I w istocie, wydziwić się nie można, że n. p. nie zaprotestują obywatele polscy na postępowanie takie, jakie ma miejsce z kościołem, który mają wybudować obok ruin dawniejszego kościoła N. M. Panny. Liczne składki po 2, 3 tysiące marek płynęły na ten cel z rąk polskich, sypał się obficie fundusz budowlany z polskich kieszeni, a oto w nagrodę za to, oświadczono obywatelom, że kościół ten przeznaczony ma być do wyłącznego użytku Niemców-katolików, których zaledwie na palcach policzyć tu możnaby i uczniów szkół miejskich i gimnazyalnych. Tak tedy, dzięki polskiemu groszowi i hojnym ofiarom polskich ofiarodawców, rozbrzmiewać ma w kościele tym pieśń niemiecka i tak miły uchu naszemu „Vater unser“! Zaiste czysta ironia! Wobec faktu tego należałoby przecież szanownym ofiarodawcom polskim wycofać swoje składki, a przez to uniemożliwić pomiatanie u nas i celowi swemu wręcz przeciwne zużytkowanie dobra naszego na korzyść naszych najserdeczniejszych.

Albo i to! Wybudowano tu niedawno po wielkich trudach i zabiegach okazały przybytek Pański, nowy i już poświęcony kościół N. P. Maryi. Z przyjemnością spoczywa oko przechodnia na pięknych arkadach i wspaniałych murach jego. Cóż, kiedy spojrzawszy na wieżą spostrzegamy na szczycie tejże symbol protestantyzmu niemieckiego — „koguta“. Sprytne to wprawdzie zwierzę, ale życzyćby należało, aby zamiast strzedz i chronić kościoła polsko-katolickiego, raczyło udzielić sprytu i rozumu więcej temu, który wsadził go tam na szczyt wieży, aby wreszcie poznał, jak daleko go zapędził nieograniczony szowinizm i chęć przypodobania się Niemcom. Pierwszy to pewnie kogut na całej kuli ziemskiej, któremu przypadło w udziale zająć tak zaszczytne miejsce na wieży kościoła katolickiego, ale boleśniejsza dla każdego katolika myśl, że zdołał wyrugować z miejsca nasz krzyż święty. Różne są wprawdzie gusta ludzkie, ale zamiłowanie takiej, że tak powiem profanacyi, to już pobłażliwość i lojalność posunięta do grzesznego zbytku. *S. K.*



# Janinie Omańkowskiej,

## Męczennicy Polskiej Sprawy

## Cześć!

Hej, polska dziatwo! czapeczki z głowy!
  Przed Bohatyrką głos hurmem wznieść:
Tej Męczennicy ojczystej mowy,
  Pannie Janinie: Cześć! chwała! cześć!

Hej, polska młodzi! tej Polski Córze
  Na każdym kroku hołd, pokłon nieść!
Niechaj rozdźwięknie z ziemi ku górze:
  Pannie Janinie: Cześć! chwała! cześć!

Hej, od Bałtyku po Karpat szczyty
  Roznieś rozgłosie po świecie wieść!
Niech wzleci wtórem okrzyk w błękity:
  Pannie Janinie: Cześć! chwała! cześć!

Hej, tej ofierze najświętszej sprawy,
  Wieńce laurowe na skronie pleść!
Hej, wstańmy wszyscy z okrzykiem sławy:
  Pannie Janinie: Cześć! chwała! cześć!

Hołd Ci, Dziewico! za trud ten krwawy,
  Co wróg przemocą kazał Ci znieść!
O Męczennico dla Polski sprawy!
  Hołd Ci, Janino! Cześć! chwała! cześć!

Za Twą ofiarę dla polskich dziatek,
  Wróg Ci nałożył „kajdany“ nieść!
I dał skosztować więziennych kratek!
  Polska Dziewico! o cześć Ci, cześć!

D. 14. X. 1900.

Szczęsny Ostoja.

## Pannie Janinie Omańkowskiej.

*Światła nie zgasi — ducha nie złamie,*
*Kary ni kaźni potworne ramię; —*
*Wstydem i hańbą ono piętnuje*
*Tego zaiste, który krępuje*
*I łamie ducha,*
*Siłą obucha*
*Bezwzględnej woli, —*
*W kraju niedoli!....*

*Pod znakiem krzyża — w cierni koronie,*
*Kraj ten dziś stoi w prawdy obronie;*
*A pod tem godłem, „kobieta jeńcem“,*
*Okrywa żywym wstydu rumieńcem*
*Te bohatery*
*Najnowszej ery,*
*Ducha pogromu —*
*W bezbronnym domu!.....*

*W tym naszym domu — w rodzinnej ziemi,*
*Polska się stroi kwiaty jasnemi, —*
*Bo każda przemoc — i krzywd tysiące,*
*Rozwija u nas te kwiaty lśniące,*
*Wieńcząc codziennie*
*A nie odmiennie,*
*Matczyne skronie*
*We czci koronie!.....*

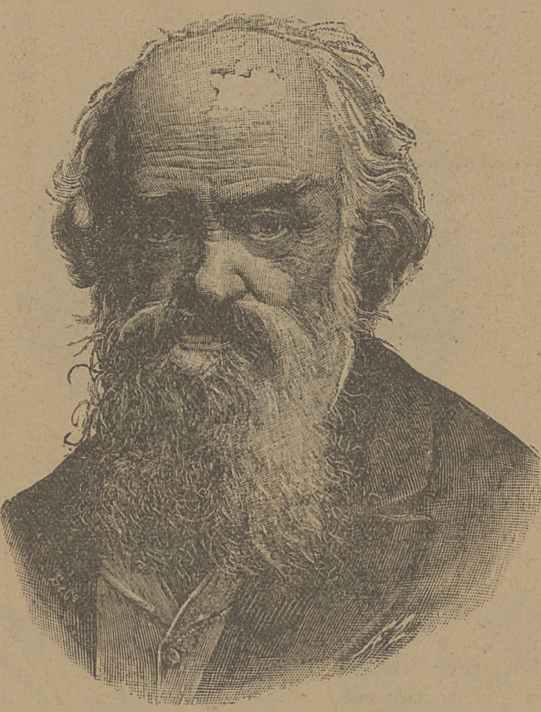
*Witaj więc, witaj! posiewie nowy*
*Naszej prastarej Piastów dąbrowy*
*Witaj nam, witaj! w tym ducha boju,*
*Kapłanko pracy — czci i pokoju, —*
*Ojczystą zorzą —*
*I prawdą Bożą,*
*Duchu natchniony —*
*Błogosławiony!...*

*Poznań, d. 14 Października 1900.*
*B.*

## August hr. Cieszkowski.

Bardzo bolesną, i bardzo doniosłą stratę poniosła Polska przez zgon ś. p. Augusta hr. Cieszkowskiego. Ustąpiła z widowni jedna z najcharakterystyczniejszych, najbardziej typowych postaci, jeden z najzasłużeńszych mężów w narodzie: myśliciel, filozof, ekonomista, socyolog, polityk i patryota, który działalnością życia długiego zdobył zasłużony w całej pełni tytuł najszlachetniejszego syna ojczyzny. Ze zgonem jego pękło jedno z ostatnich ogniw wiążących teraźniejszość z przeszłością. On wiódł zastęp pracowników, którzy w trudnych warunkach wywalczali dla jednej dzielnicy polskiego społeczeństwa prawa polityczne, torowali nowe drogi, dźwigali moralnie, zdobywając uznanie u obcych. Jako filozof i ekonomista Cieszkowski należy do ludzkości, do koryfeuszów europejskiej wiedzy, jako pracownik na niwie praktycznych obowiązków jest synem i reprezentantem naszego narodu. Minione pokolenia lepiej znały działalność ś. p. Augusta hr. Cieszkowskiego i trafniej oceniały doniosłe jej znaczenie i skutki. Dziś nowe prądy myśli, oraz nowi działacze na niwie społecznej i politycznej przesłonili cieniem jego postać wybitną, a tak bardzo zasłużoną.

August hr. Cieszkowski, potomek zamożnej szlachty podlaskiej urodził się 14 września 1814 roku w Królestwie



August hr. Cieszkowski.

Polskiem. Szczegółów przebiegu jego szkolnych studyów nie znamy; wiemy tylko, że około 1825 r. zapisany był na uniwersytet w Berlinie, gdzie wówczas wykładał filozofię słynny Hegel. Wykłady tegoż, oraz bezpośredniego jego następcy Micheleta, rozwinęły w umyśle Cieszkowskiego wrodzoną skłonność do filozofowania, nie zabiły w nim jednak pewnej samodzielności. Na zasadzie krytycznego porównania wyłaniających się i ścierających na polu filozoficznej nauki kierunków, Cieszkowski dochodzi do przekonania, że metoda dyalektyczna „filozofii absolutnej“ jest jedynie i bezwzględnie prawdziwą. Jako 24-letni młodzieniec daje temu przekonaniu wyraz w książce „*Prolegomena zur Historiosophie*“ (Berlin 1838) i w urzeczywistnieniu niejako swego programu „ucieleśnienia idei filozoficznej“ rzuca w rok niespełna swe pomnikowe dzieło „*Du crédit et de la circulation*“. Od tej chwili, obok filozofii, najpozytywniejsza umiejętność: ekonomia polityczna staje się ulubionym badań Cieszkowskiego przedmiotem.

Obrawszy Poznań za stałą swą siedzibę, tutaj rozwijać począł ruchliwą działalność polityczną. Już w r. 1848 stojąc na czele reprezentacyi polskiej w Berlinie, stawia głośny, tyle nadziei swego czasu budzący, wniosek o założenie uniwersytetu polskiego w Poznaniu i uregulowanie szkolnictwa. Gdy urzeczywistnieniu tych nadziei i pragnień polityka rządu pruskiego stanęła na przeszkodzie, stwarza Cieszkowski „Ligę polską“, instytucyę narodowo-ekonomiczną, która miała się stać dźwignią stosunków ekonomicznych w Wielkopolsce. Niestety rząd wrogi i to dzieło zniweczył, upatrując w niem instytucyę dla całości państwa niebezpieczną. Nie dając się jednak złamać przeciwnościom, Cieszkowski z wrodzoną ruchliwością, a niepospolitą ofiarnością, zakłada w własnym majątku szkołę rolniczą pod nazwą „Halina“, instytut, który przyciągał młodzież z całej Polski, ucząc postępowej pracy na glebie ojczystej. I to ziarno organicznej pracy zdeptane zostało, ale nie bez śladu. Dzisiejsze „Kółka włościańskie“ i „Centralne Towarzystwo gospodarcze“ w Wielkopolsce są dalszym ciągiem, tudzież plonem pracy i myśli Cieszkowskiego.

Spostrzegłszy po wielu a wielu zawodach bezcelowość dalszych swych praktycznych usiłowań, oddał się Cieszkowski całkowicie pracy naukowej.

Znanem i rozgłośnem już było wówczas na całym Polski obszarze nazwisko Cieszkowskiego jako autora „Ojcze nasz“. W dziele tem zbudował nieboszczyk własny system historyozofii chrześcijańskiej, rozwinięty następnie w „Drogach ducha“. Powołany w r. 1857 na pierwszego prezesa Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, jako jeden z założycieli tej instytucyi z największą godnością i pożytkiem piastował powierzone sobie berło aż do r. 1868, w którym ustąpił stanowisko Libeltowi. Nie zasklepiając się w ciasnem kole obranej specyalności, wybiegał myślą w świat szeroki, i śledził pilnie ruch umysłowy za granicą. Z licznych podróży naukowych niemało przywiózł cennego plonu do ojczyzny. Poszukiwania jego w archiwach weneckich przysporzyły bogatego zasobu materyałów, odnoszących się do dziejów polskich. Schyłek życia przyniósł znakomitemu uczonemu naszemu najpiękniejszą nagrodę, bo uznanie i hołd narodu za pięćdziesięcioletnią pracę. Obchód ten uroczysty, w którym cała Polska brała udział, był chlubnym a zasłużonym wyrazem wdzięczności współziomków dla niestrudzonego pracownika, który, jak waleczny chorąży, do końca życia nie wypuścił z rąk sztandaru. Ostatni raz widzieliśmy Cieszkowskiego na arenie publicznej w tej właśnie chwili uroczystej, kiedy w dzień po swym jubileuszu zagajał jako prezes urządzającego komitetu trzeci zjazd prawników i ekonomistów polskich w Poznaniu. Ostatnim błyskiem niesłabnącej myśli uczonego był referat na tym zjeździe odczytany „O polepszeniu bytu robotników rolnych“. Był to jego śpiew łabędzi.

Umarł w Poznaniu w marcu 1894 r.

W. P.

## U stóp Maryi.

Nad czołem Twojem świateł korona,
A u stóp Twoich wierny Ci lud —
Do matczynego garnąc się łona
Winy swe składa i życia trud.

I oczyszczony łzami rzewnemi
Do Ciebie tęskny podnosi głos,
I wypowiada krzywdy swej ziemi
I swój nieszczęsny, sierocy los.

O! bo Marya jedna zrozumie
Ból, co pierś dzisiaj kaleczy znów,
I Ona tylko wysłuchać umie
Prośbę tę naszą cichą — bez słów.

O! Ona jedna Pocieszycielka
Skarg nie odrzuci — nie wzgardzi łzą —
O bo i Ona Dobroć tak wielka
Serca się kiedyś poiła krwią.

* * *

Matko! z rąk Twoich jasne promienie
Płyną jak zdroje na biedny świat,
I nikną zwolna pomroku cienie,
Cierń się w uroczy zamienia kwiat.

I kędy była zwątpień noc głucha
Miłości świętej gwiazda się lśni,
Moc w słabnącego wstępuje ducha
Zamienia boleść — znikają łzy. —

I już nie ciężka ta życia droga,
Nie żal tak wcześnie zagasłych mar —
Przyszłość niezmienna świeci się błoga,
W niej tylko prawdy wieczysty czar.

Matko! z Twych dłoni promyczek mały
Na serca nasze smutne dziś rzuć —
Gdy w nich już szczęścia ziemskie skonały,
Ty im nadziei chociaż kwiat wróć.

O Ty wiesz, Matko, czemu przed Tobą,
Z wiarą do świętych padamy nóg,
I czemu z straszną serca żałobą
Skargę w Twój święty wnosimy próg.

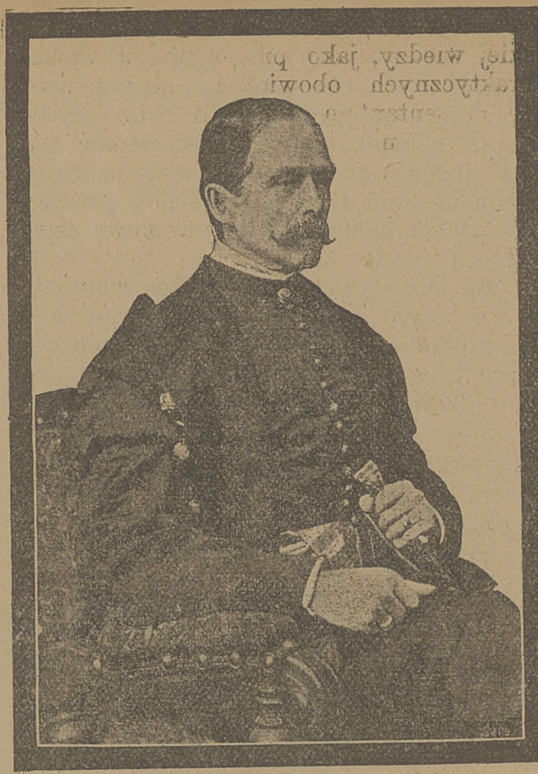
* * *

Matko — Królowo — litości Pani!
Ześlij nam, ześlij promień Twych łask;
My dzieci Twoje — słudzy — poddani, —
Królestwu Twemu wróć dawny blask.

*Marya Sokolnicka.*

Marcinkowo górne, 13. 10. 1900.

# Jan hr. Tarnowski



Jan hr. Tarnowski.

urodził się w roku 1835tym w Dzikowie w Galicyi z Jana i Gabryeli z hr. Małachowskich hr. Tarnowskich; był najstarszym bratem licznego rodzeństwa, mianowicie niezapomnianego Juliusza, który poległ na polu bitwy bohaterską śmiercią w roku 1863-cim, Stanisława, prezesa Akademii krakowskiej, oraz Waleryi hr. Mycielskiej i Janowej Tarnowskiej z Chorzelowa. Po ukończeniu nauk osiadł w dziedzicznym majątku, uroczym Dzikowie, bogatym w skarby sztuki i zabytki starożytności; ożeniwszy się w r. 1861-ym z Zofią Zamoyską, prowadził życie ziemianina dbałego o rozwój wzorowego gospodarstwa i obywatela śledzącego pilnie wszystkie kraju potrzeby. Był prezesem Rady powiatowej w Tarnobrzegu, posłem na Sejm krajowy, prezesem krakowskiego Towarzystwa rolniczego, członkiem Izby panów, wreszcie marszałkiem krajowym. Po ustąpieniu nieodżałowanej pamięci Zyblikiewicza, zaufanie cesarza powierzyło w jego ręce laskę marszałkowską, którą przez lat blisko cztery (od 17-go listopada 1886 do 21-go września 1890) z wielką piastował godnością. Złożywszy urząd marszałka, powrócił znowu do swego ukochanego Dzikowa, aby dalej pracować na niwie ojczystej. Nie przestał jednak zajmować się gorliwie sprawami kraju. Jako poseł na Sejm położył wielkie zasługi około gospodarstwa i rólnictwa krajowego a pełnił zarazem obowiązki prezesa komisyi melioracyjnej. Śmierć Jana Tarnowskiego odczuł żywo i boleśnie kraj cały, całe społeczeństwo polskie. Na kilka godzin przed jego zgonem nadeszła z Rzymu depesza, w której Ojciec św. przesyłał umierającemu Swoje błogosławieństwo. Umarł w Dzikowie dnia 12-go maja 1894-go r.

S.

Coś się tam kiedyś kundysom przyśniło,
Że im tu z nieba za jasno świeciło; —
Na księżyc w pełni, który płonął kołem,
Cała więc psiarnia ujadała społem,
I zdało jej się, że tej psiarni głosy
Rozedrą księżyc i zaćmią niebiosy! —
Czegoż się dziwić i na co narzekać? —
Wolno psu przecież tu na księżyc szczekać!..

Ileż to bydląt ujada i szczeka
Na przyrodzone nam prawa człowieka,
I dotąd jeszcze dziś pojąć nie może,
Że po nad inne, — świeci prawo Boże; —
Niechaj więc patrząc na to światło z góry
Wyją i warczą wszechbydlęce chóry! —
Czegoż się dziwić i na co narzekać? —
Wolno psu nawet i na Boga szczekać!...

Ileż to bydląt i ludzi na świecie, —
Na tej wszechświatów nikczemnej planecie,
Od wieków w wieki na Boga się sroży,
I chce wywracać tu porządek Boży!
A przez daremne i śmieszne szczekanie
Siłą odmienić — Boże przykazanie! —
Czegoż się dziwić i na co narzekać? —
Pozwólmy raczej naszej psiarni szczekać!....

*Dixi.*

# Z teatru.

(*Szukajcie dziecka!*, *wodewil ze śpiewami i tańcami Zygmunta Przybylskiego.*)

Spełniło się marzenie publiczności naszej: mamy w końcu operetkę. T. j. mamy przedewszystkiem to, co na operetkę się składa: orkiestrę i dyrygenta, który zadaje sobie staranie i którego pracę widać: czy to w międzyaktowych popisach orkiestry, czy też w skandowaniu pana Knapczyńskiego, naśladującem śpiew. Dotąd nie mieliśmy ani orkiestry, ani dyrygenta. Skąd p. Ryger postarał się o jedno i drugie, — nie wiem, ale w każdym razie podziwienia to godny człowiek, ten nasz pan dyrektor, który pracuje w tak trudnych warunkach jak żaden inny z kierowników sceny, bo artystów sobie stwarzać i wyuczać musi, a jednak wyuczy ich sobie tak szybko.

Na sobotniem przedstawieniu, które ziściło życzenia publiczności naszej, naturalnie teatr był zapełniony; zapewne po raz pierwszy w tym roku. Może to zapowiedź, że zrozumienie dla tych artystycznych wrażeń, które daje scena, budzi się, i że nadal teatr świecić nie będzie tak rozpaczliwemi pustkami. Może w końcu ta nasza publiczność ma i racyą. — Poco robić z teatru świątynię a ze sztuki kapłankę? — Bądź jak bądź teatr to rozrywka po całodziennym trudzie. Nic więc dziwnego, że publiczność nasza pragnie operetki i farsy. — Chce mieć rozrywkę. — Garść śmiechu i wesołych konceptów nie wystarczy co prawda każdemu miłośnikowi i znawcy sztuki — ale jeżeli wystarczy większości — to pocóż z nią walczyć? — Dać jej garść śmiechu i kilka kupletów, a na zakończenie siarczystą polkę (jak w sobotę). — Dobrze więc, że mamy operetkę. —

Sobotni wodewil był sobie nie złą oprawą dla kupletowych występów operetkowych wielkości. — W końcu to cel każdego wodewilu. — Właścicielowi konfekcyi damskiej (p. Knapczyński), który notabene prócz innych zawodowych zalet ma ogromnie zazdrosną małżonkę (p. Wysocka), ginie na spacerze w alejach „dziecko.“ Piastunka p. Krajewska) zabawiała się ze strażakiem, donżuanem warszawskich kucharek i zgubiła dziecko. — Dziecko to znajduje szwaczka, panna Julka (pani Jakubowska). Bardzo pięknie. — Tylko p. Julka ma narzeczonego (p. Dąbrowski), który bynajmniej nie jest zachwyconym tem niespodziewanem znalezieniem dziecka. — Przychodzi do awantury. Panna Julka oburzona, że ją tak haniebnie podejrzewa jej przyszły małżonek, — zrywa z nim wśród łez i szlochań. — Tymczasem hultaj Hipek (pan Okornicki), typ warszawskiego ulicznika przyczyna nieszczęścia, dziecko zabiera i zanosi do pięknej aktorki (p. Niwińska). Niby to, aby wydobyć pannę Julkę z przykrego położenia. — Tam podejrzewają biedne niemowlę, że jest synem barona na „Kołkach Kołkiewicza“ (pan Szczurkiewicz). Pan baron pragnie go adoptować, wpadłszy w zachwyt nad sobą samym. W końcu wydaje się wszystko, rodzice odnajdują zaginione dziecię, p. Niwińska i p. Knapczyński mają sposobność do odśpiewania pięknych kupletów

no i wszystko dobre, co się dobrze kończy. —

Znakomitą była p. Królikowska, wdowa po trzech mężach, „których jak się patrzy w białych krawatach i rękawiczkach odstawiła na drugi świat.“ — Artystka to starej szkoły, — z której wyszły gwiazdy klasyczne sceny naszej. W sobotę była wybornym typem. W operetce królują: p. Niwińska i p. Golińska (aktorka i pokojowa). Obiedwie mają głos miły. — Pierwsza ma większą rutynę i pewność siebie. — P. Golińska widać nowicyuszką na scenie, choć widać w niej bezwarunkowy talent i — temperament. – Gdyby tylko umiała nad temperamentem swym umiejętnie panować! Nie od razu Kraków zbudowany. — W małej roli piastunki umiała p. Krajewska nas przekonać, że ma znaczny bardzo talent do oddawania ról kobiet wiejskich. — Można było wierzyć, że to gra interpretatorka młynarki z „Zaczarowanego koła.“ — P. Knapczyński był pełnym humoru jak zawsze, a wybornym Hipkiem był p. Okornicki.

*Alfa.*

# Kronika.

Lotem błyskawicy rozbiegła się przed kilku dniami po mieście wieść o aresztowaniu panny Janiny Omańkowskiej, znanej w szerokich kołach ze swych dzielnych występów na ostatnich wiecach.

Wielu już zapomniało o owych słynnych mandatach policyjnych, grożących paniom uczącym dzieci polskie prywatnie i bezpłatnie 100 m. kary enwentualnie 5 dniami więzienia, dlatego pytano się, co zawiniła panna Omańkowska?

Straszne były jej przewinienia. Oto i ona należała do tych zbrodniarek, które zajęły się zaspokojeniem głodu duchowego biednej dziatwy polskiej.

Tak, gdyby to nie było istotną prawdą, niktby nie dał wiary, aby w państwie konstytucyjnem policyi danem było prawo karania aresztem za czyn, za który gdzieindziej udzielają nagród. Bo czyż nie warto nagradzać tych, co się do oświaty przyczyniają? Czy z rozszerzania oświaty nie spływa także korzyść na państwo?

Gdzieindziej może uznanoby to wszystko, ale nie u nas, gdzie obecnie hasłem jest, że wszystko jest dobrem i pięknem, co wiedzie do stłumienia polskości.

Wziąwszy jednak na rozum, powstają poważne wątpliwości, czy Prusy na tej drodze dojdą do pożądanego i gorąco upragnionego celu. Rozpatrzywszy się w dziejach świata, znajdziemy przykładów dużo, że ucisk odwrotny wywołał skutek, że właśnie znęcanie się, kary i kaźnie wywołały zapał dla sprawy prześladowanej. Ze krwi i z męczeństwa wyrosła wiara chrześciańska i zwaliła poganizm.

Dostateczna to chyba nauka dla mężów stanu, dostateczna przestroga dla wszystkich gwałcicieli. Nigdy też jeszcze żadne państwo nie odniosło pożytku z tego, że przekręcało istniejące prawo, że ścieśniało prawa obywatelom.

Czyż te zakazy uczenia dziatwy polskiej nie są ścieśnianiem praw obywatelskich? Zajrzyjmy do konstytucyi pruskiej. Stoi tam wyraźnie, że zakładać szkoły i prowadzić je może każdy obywatel, który wobec odpowiednich władz wykazał się zdolnością, techniczną znajomością i moralnością. A więc jeżeli wolno zakładać szkoły i prowadzić je, cóż można przytoczyć przeciwko bezpłatnemu uczeniu dziatwy? Przecież pouczanie gromadki dzieci nie ma nawet charakteru szkoły!

Ba! Wszystko to prawda. Pozwolonoby je też uczyć po chińsku, po japońsku, pozwolonoby je uczyć języka Aszantów, Somalisów lub innych jakichbądź języków dzikich ludów, byle nie po polsku!

Więc znowu się odzywa ta prastara nienawiść germańskiego szczepu do wszystkiego, co słowiańskie, a nie ma ręki, coby zuchwalstwo ukarała.

Zapomniane dni Psiego Pola, Płowiec i Grunwaldu — gromiących butę germańską, odpierających mężną ręką Piastów i Jagiellonów nawałę germańska.

Byłoby tedy smutno i bardzo źle, gdyby niebyło Boga na niebie, ukrócającego zbytnią zuchwałość i zsyłającego na tych, których chce ukarać, zaślepienie. Dosyć o tem — odwróćmy się od czynów, które ponure światło rzucają na cywilizacyą pruską na przełomie wieku.

Panna Omańkowska odsiedziała swą karę, obywatelstwo powitało ją owacyjnie, były wieńce i kwiaty, były łzy rozczulenia i ognie zapału w oczach.

Jestem przekonany, że znowu przetrwamy tę burzę i że po kilku latach rząd pruski znowu sobie powie, że fałszywych chwycił się sposobów.

Przetrwamy tę burzę, jeżeli będziemy zgodni, jeżeli pozbędziemy się zawiści względem siebie. Ale czy tak postępujemy zawsze?

Oto przytoczę na dowód, że tak nie jest, przykład. Wiadomo wszystkim, że ku wielkiemu strapieniu Hakaty „Spółka Dom Przemysłowy“ przystąpiła do wprowadzenia w czyn od lat kilkunastu niemal dyskutowanego projektu. Nabyto grunt, rozpisano konkurs — oceniono nadesłane plany — wybrano jeden z nich. Stary budynek już częścią rozebrany, naraz zaczyna się krytyka, zaczynają się nurtowania najrozmaitsze. A to plan nagrodzony nie był wystawiony we wszystkich częściach, a to to, a to owo. Dziwne to jakieś zarzuty. Przecież „Spółka Dom Przemysłowy“ oddała całą sprawę zarządowi i komisyi. Komisya rozpatrywała się we wszystkich planach i badała je. Musiała chyba wiedzieć, dlaczego wzięła plany pana X — a nie pana Y.

Gdzieindziej szanowni konkurenci powiedzieliby sobie: „*Tym razem nie udało się!* Na przyszły raz będę może szczęśliwszym — w pomyśle!“

U nas inaczej! — Jakto mego planu nie przyjęto?! *Mego* planu! Ja takie a takie budowle wykonywałem i *mój* plan odrzucono. — Tak myśli sobie jeden konkurent, drugi podobnie rozważa: *Mego* planu nie przyjęto? planu budowniczego, który na tylu konkursach już brał nagrody! — Takie uwagi czynią sobie w duszy szanowni konkurenci.

Trudno! Komisya wybrała! Komisya według sześciu planów jednego budynku stawiać nie może. Nie może też stawiać 6 domów przemysłowych, aby dogodzić wszystkim, bo z biedą na wystawienie jednego starczy.

Ale te proste rozwagi nie powstrzymają od dalszych gderań, na czem sprawa żadną miarą zyskać nie może.



Panna Janina Omańkowska w celi więziennej.

Co prawda nie pamiętam też jeszcze ani jednej sprawy w Poznaniu, przy której nie byłoby podobnych zajść.

To już nam weszło w krew, tego się nie pozbędziemy, choćby nas Niemcy nie wiedzieć jak przyciskali.

Dnia 21 b. m. obchodzi Tow. św. Wincentego à Paulo pięćdziesiętną rocznicę swego założenia. Fakt godny zanotowania. Najprzew. X. Arcypasterz przewodniczyć będzie zebraniu, które ma się odbyć dnia 21 b. m. w Domu Katolickim, o godzinie 4 po południu, jeżeli Mu zdrowie pozwoli. Towarzystwo św. Wincentego à Paulo niespożyte położyło zasługi około uśmierzenia nędzy i biedy, której u nas dużo, więcej niż gdzieindziej, bo najtłustsze zarobki i urzędy przypadają hakatystom.

*Acer.*

# Złote myśli.

Staraj się o mądrość starca, ale serce twoje nich będzie jak serce dziecka.

*Schiller.*

* * *

Uciekaj kędy możesz od złego człowieka. *Drużbacka.*

# KRWAWE OFIARY.

Powieść z francuzkiego

przez

**F. de B.**

### Pan Lecoq usuwa się.

### ROZDZIAŁ I.

Pewnej nocy zimowej dwóch sierżantów krążyło po odludnej ulicy paryskiej Champ de l'Alouette.

Służba policyjna w tej dzielnicy jest ciężką i sprawujący ją stróże publicznego bezpieczeństwa nie piastują synekur, widując częściej drapichrustów i pijaków, niż spokojnych obywateli, wracających wieczorem do domu.

Podczas zimy policyanci muszą błądzić prawie po ciemku, a ich wycieczki są niemal tak karkołomne jak rekonesanse w kraju nieprzyjacielskim.

Otóż owej nocy śnieg padał grubemi płatami, wiatr dął przeraźliwie. Była już trzecia, sierżanci krążyli tak od północy, powoli w milczeniu i z rezygnacyą ludzi, którzy wiedzą, że muszą pełnić obowiązek przykry, lecz pożyteczny.

W chwili, gdy po raz już setny mieli skręcić z ulicy Champ de l' Alouette w ulicę Pascal, przechodząc przez ul. Corvisart, burza wybuchła tak gwałtownie, śnieg sypnął z taką siłą, że musieli schronić się pod wystający daszek garbarni.

Nie uchybiając swoim obowiązkom, mogli się tam ukryć przed zawieją, gdyż w miejscu tem latarnia oświecała zbieg czterech ulic, tak że nikt nie mógł przejść, nie będąc przez nich widzianym.

— Co za psi czas! mruczał stary policyant. — Nie pamiętam takiego od moich wypraw w górach Kabylu, gdy służyłem w 1-ym pułku żuawów. I pomyśleć, że trzeba tu jeszcze wartować przez cztery godziny, choć nie pokaże się żywa dusza.

— To pewna. Spokojni ludzie śpią, a złodzieje za nadto lubią wygodę, żeby się fatygować na taki czas podły.

Nagle wiarus, potrącił łokciem młodszego kolegę.

Na ulicy Corvisart od strony bulwaru Arago rozległy się kroki, stłumione śniegiem, lecz wyraźne dla czujnych uszu policjantów.

Na wszelki wypadek, przez zawodową ostrożność przytulili się do muru fabrycznego i czekali na pojawienie się człowieka, który pomimo późnej godziny i szarugi wybrał się na spacer.

Po chwili ujrzeli mężczyznę, zdążającego w stronę bulwaru; szedł z głową spuszczoną, z postawionym kołnierzem, z rękoma wsuniętemi w kieszenie. Miał płaszcz obszerny, na głowie cylinder.

W ubraniu jego i chodzie nie było nic podejrzanego, więc pozwolili mu się oddalić.

— Niezwykły amator świeżego powietrza — szepnął młody policjant.

— Nie on jeden — mruknął wiarus.

Jakoż rozbrzmiały znowu ciężkie kroki człowieka w butach podkutych.

Pierwszy przechodzień szedł dalej spokojnie.

Drugi zakręcał właśnie na rogu ulicy, opierał się na kiju sękatym i uginał się pod ciężarem skrzyni, którą niósł na plecach.

Wyglądał na posłańca, lecz zwyczajni posłańcy nie krążą tak późno po ulicach, a ci, którzy pełnią swe obowiązki przy dworcach kolejowych, wychodzą dopiero około czwartej zrana.

Nie dziw więc, że nasz tragarz wydał się sierżantom podejrzanym, a to tembardziej, że w owym roku bardzo się rozmnożyli złodzieje, których specyalnością jest okradać wozy i dorożki naładowane bagażami.

— Ten obywatel coś mi wygląda na rzezimieszka — szepnął wiarus. Pogadajmy z nim, to nas rozgrzeje.

— Obaj policjanci wyskoczyli ze swojej kryjówki i zagrodzili drogę spóźnionemu przechodniowi ze skrzynią.

— Dokąd tak się spieszysz chłopcze — spytał ekszuaw, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Co tam masz w skrzyni? — spytał znowu wiarus. — Garderobę damską, czy własną? W tym drugim razie jesteś dobrze uprowidowany, bo masz ze sto pięćdziesiąt funtów na plecach.

Tragarz oparł się na kiju i milczał uparcie.

Przechodzień w cylindrze, który go wyprzedził o kilka minut, usłyszawszy gruby głos sierżanta, zląkł się zapewne i zaczął uciekać.

Agenci nie myśleli go ścigać, tak byli zajęci tragarzem i jego skrzynią.

— Udajesz głupiego — mówił młodszy. Milczysz? Dobrze. Wytłumaczysz się przed brygadjerem. On ci potrafi język rozwiązać.

Człowiek, niosący skrzynię, ani drgnął. Można było przysiądz, że nic nie rozumie.

Szedł jednak za sierżantami, nie stawiając oporu. Wzięli go pod ręce i prowadzili. Nagle rozległ się turkot dorożki, do której wsiadł pierwszy przechodzień.

Cyrkuł policyjny mieści się przy alei des Gobelins, w pobliżu fabryki dywanów. Spory to kawał drogi od ulicy Champ de l' Alouette, przeprawa zajęła dużo czasu, gdyż człowiek, obarczony skrzynią, nie mógł iść prędko.

Wreszcie dotarli do cyrkułu, wepchnęli schwytanego ptaszka do sali, w której kilku policjantów spało na obozowych łóżkach, lub grzało się przy piecu. Pomogli mu postawić skrzynię na podłodze.

Zachowywał się wciąż spokojnie i biernie, ale wciąż milczał.

— Kogo mi tu przyprowadzacie? — spytał brygadier, piszący raport.

— To jakiś figlarz. Złapaliśmy go z tą skrzynią na plecach.

— Ukradł ją pewnie na dworcu Orleańskim — odpowiedział starszy policjant. Pytaliśmy zkąd idzie i co niesie, ale robi głupiego. Nie odpowiada.

— Zaraz mu język rozwiążemy — oświadczył brygadjer, wstając.

Osobliwy tragarz był wysokim tęgim chłopakiem, mógł mieć lat dwadzieścia najwyżej; miał twarz miłą. Ubrany był w bluzę wełnianą i welwetowe spodnie, wyglądał na wieśniaka, nie na Paryżanina.

— Daj pokój komedjom — odezwał się do niego brygadjer. — Wytłómacz mi się zaraz, bo inaczej wpakuję cię do ula a potem do więzienia.

Zagadnięty w te słowa chłopak, wtrząsnął głową i pokazywał palcem na uszy.

— Chcesz we mnie wmówić, żeś głuchy! — zawołał brygadjer. — Schowaj te sztuczki dla komisji poboru wojskowego, a teraz marsz do ula.

Chłopak ani drgnął, nie okazał wzruszenia i dał się zamknąć w ciasnej ciupie.

— A teraz otwierajcie skrzynię — rzekł brygadjer do sierżantów, gdy wyprowadzono podejrzaną figurę. — Zobaczymy, co ten hultaj ukradł.

Skrzynia była zamknięta na klucz, ale stary sierżant nożycami i młotkiem zamek wysadził.

Podniósł wierzch i nagle z piersi jego padł okrzyk zgrozy.

Na dnie skrzyni leżał trup kobiety.

Nawet brygadjer zbladł i cofnął się, choć był przyzwyczajony do rozmaitych widoków i czynił nieraz straszne odkrycia.

Wystraszeni sierżanci otoczyli skrzynię, a ten, który aresztował niosącego ją człowieka, zawołał z oburzeniem:

— O potwór! Ja go miałem za złodzieja, a to morderca

Nikt nie śmiał dotknąć trupa.

Była to kobieta cudnej urody, w białym jedwabnym szlafroku, ubranym bogatemi koronkami.

Jej duże oczy zdawały się patrzeć na tych starych żołnierzy. W rękach skrzyżowanych trzymała jeszcze kamelję, na ustach miała jeszcze ślad uśmiechu.

— Możnaby przysiądz, że śpi — szepnął jeden z sierżantów.

— Usnęła na wieki — mówił drugi — Zabili ją odrazu jednem pchnięciem sztyletu. Sztylet tkwi jeszcze w ranie.

Ofiara została ugodzona w samo serce ręką pewną.

Broń weszła pod rękojeść, a że jej nie wydobyto, więc upływu krwi nie było.

Zaledwie kilka kropel krwi splamiło piękną materję; fałdy jej były nie zmięte.

— Rozumiem teraz dlaczego ten łotr nie chciał odpowiadać — zawołał ekszuaw. — Miał ważne powody do milczenia. Ale musi przemòwić, gdy go stawimy wobec trupa. Im wcześniej, tem lepiej. Wyciągnijmy go z ula.

— Cierpliwości — rzekł brygadjer. — Sprawa poważna; nie chcę nic przedsiębrać na własną rękę, nawet konfrontacji zbrodniarza z trupem. To rzecz naszych zwierzchników; gdybym wchodził w ich atrybucje, mogliby mi jeszcze zmyć głowę.

Zamknijcie mi zaraz tę skrzynię i podsuncie ją pod łóżko obozowe.

Niech jeden z was pędzi do prefektury, ale galopem, drugi do komisarza cyrkułowego.

Powiedźcie, że trzymamy w ręku mordercę, że skrzynia jest w tym stanie, w jakim była, gdy ją otworzono i że nic nie postanowię przed przybyciem szefa policji tajnej.

Te przezorne rozkazy zostały spełnione szybko; podsunięto skrzynię pod łóżko, a nikt nie miał już ochoty na niem się przesypiać.

Ul przypadkowo tej nocy był pusty. Śnieg i chłód odstraszyły złodziei, pijaków i włóczęgów. Wszyscy siedzieli w swoich norach i legowiskach.

Jedynym lokatorem aresztu był chłopak, schwytany przed chwilą.

Brygadjer, przypuszczając, że jego zwierzchnicy zechcą przystąpić do śledztwa odrazu, polecił prowadzić do innego posterunku złoczyńców, których policja złapie na ulicach.

Chociaż wysłani policjanci sprawili się szybko, jednak skutkiem braku połączenia telefonicznego z prefekturą, upłynęło sporo czasu, zanim zdołano przystąpić do śledztwa.

Brygadjer skorzystał z tego dla spisania raportu o tem niezwykłem odkryciu i nie omieszkał zaznaczyć wielkiej przenikliwości podwładnych, którzy aresztowali zbrodniarza na mocy tak nieznacznej poszlaki, jak skrzynia przenoszona o zbyt późnej porze.

Wszyscy milczeli, nikt nie śmiał nawet fajki zapalić wobec trupa. Agenci nie cieszyli się ze zdobyczy, tak ich przygnębił ten widok kobiety, zamordowanej w pełni młodości, urody i — może szczęścia.

— Pójdźcie-no zobaczyć, co porabia ten ptaszek — rzekł brygadjer po długiem milczeniu. — To jakiś mruk; ręczę, że jest zawzięty; zechce może nam umknąć przed sądem i gilotyną, rozbijając sobie łeb o ścianę. Toby mi dopiero spłatał figla!

Areszt oddzielony był od sali szerokim kurytarzem; ci, których zamykano w ulu, nie mogli słyszeć, co się mówiło przy piecu.

W kilka minut potem, sierżant wysłany na zwiady powrócił.

— Czy wiecie jak się zabawia? — mówił, gestykulując z oburzeniem. — Oto położył się na ziemi i śpi w najlepsze.

— Albo udaje.

— Nie. Śpi. To dopiero kanalja bez serca, a tak chrapie, że aż drżą szyby. Wstrząsałem nim z całych sił, otworzył jedno oko i zasnął znowu.

— Na takie zimnisko! na gołym kamieniu! Ten człowiek musi być djabelnie zmęczony.

— I ma tyle wyrzutów sumienia, co kot po zjedzeniu myszy.

— Za kwadrans pójdziecie zobaczyć, czy się nie obudził.

Sierżanci nie omieszkali tego uczynić; byli przejęci oburzeniem, patrzyli na mordercę, jak na jakiego potwora nieludzkiego, a przytem jak na zdobycz porządaną, i wielce im o to chodziło, by im ten łup nie umknął.

Ale więzień spał, jak się sypia tylko za młodu, jak się nie może sypiać, mając nieczyste sumienie.

Spał jeszcze, gdy przybył szef policji tajnej z sędzią śledczym i lekarzem.

Komisarz cyrkułowy, wezwany natychmiast, nie mógł przybyć, bo go nie zastano.

Szef policji zaczął od zbadania brygadjera. Słuchał z wielką uwagą. Pierwszem jego pytaniem było:

— Czy aresztowany widział trupa?

— Nie — brzmiała odpowiedź. — Sądziłem, że należało z tem poczekać na przybycie pana pryncypała.

— Postąpiłeś przezornie, a przezorność w takich razach tyle znaczy, co inteligencya. Każ przynieść skrzynię.

Podczas gdy dwóch ludzi wyciągało ją z pod łóżka, szef policji pytał:

— Czy można być pewnym, że nas podsądny nie słyszy.

— Najpewniejszym.

— Tem lepiej, bo nie wierzę w jego głupotę.. Ale oto i skrzynia. Panie doktorze, za chwilę rozpoczną się twoje obowiązki, ale obejrzenie skrzyni do mnie należy.

Ukląkł, żeby módz lepiej się przyjrzeć skrzyni na zewnątrz.

— Nie jest to robione na przechowywanie trupów.

To poprostu kufer podróżny z cienkiej skóry... kosztował drogo — co świadczy, że ofiara musiała być osobą zamożną. Tak, to kufer do przewożenia wytwornych tualet... Kobiety noszą teraz tak długie suknie, że mogłyby śmiało sypiać w kufrach, służących do przewożenia tualet. Na wierzchu nie ma liter... Ach! była tabliczka mosiężna, ale ją odjęto, bo było na niej nazwisko i adres właścicielki. Kufer zrobiony w Anglji lub może w Ameryce. U nas nie, bo robota inna. No, zobaczyłem już, co chciałem widzieć. Teraz na pana kolej doktorze.

Lekarz otworzył kufer i nie mógł wstrzymać okrzyku zdziwienia. Szef policji wzdrygnął się.

— Tymczasem — rzekł — radzę panu stwierdzić śmierć i położenie trupa. Dalszych stwierdzeń dokonasz pan w la Morgue, odeszlę tam trupa, nie tykając go wcale.

— Masz pan słuszność, tak będzie najlepiej — tutaj nie mogę dokładnie obejrzeć — mówił lekarz, uchylając koronki. Ofiara została zabita znienacka... prawdopodobnie we śnie, bo twarz jej wyraża spokój... Morderca miał czas wybrać miejsce, w które godził... Patrz pan... ostrze tkwi pomiędzy piątem a szóstem żebrem, i to po samą rękojeść... Ha! to dziwne... sztylet przebił kartę, przygwoździł ją jakby do piersi nieboszczki.

— Kartę!?

— Tak damę pikową.

Dreszcz przebiegł po obecnych, sierżanci, którzy dotychczas stali na uboczu, podeszli, aby się przekonać na własne oczy o tem zdumiewającem odkryciu lekarza.

Ciekawość ich była zresztą zrozumiałą; nie często zdarza się widzieć damę pikową, przybitą do serca zamordowanej kobiety.

Zbrodniarze nie zwykli w ten sposób podpisywać się na swoich ofiarach, ani też dopuszczać się żartów, któreby mogły policję na ich trop wprowadzić.

A jednak w tym wypadku tak było. Zuchwały morderca przeszył swoją ofiarę przez kartę, z koszulką białą, grubą, złoconą na brzegach jedną, z tych które są używane w salonach i w klubach.

Trudno było zrozumieć pobudki takiej okrutnej ironji.

— Dziwne istotnie — rzekł szef policji, przyjrzawszy się zbliska. Człowiek uczy się do końca życia. Gdyby mi opowiedziano wczoraj fakt podobny, wziąłbym go na karb bujnej wyobraźni jakiego dziennikarza. A teraz stoję w obec rzeczywistości, muszę jednak przyznać, że to wypadek niebywały. Co pan o tem myślisz, doktorze?

— Ze stanowiska ekspertyzy medycznej to jeden dowód więcej, że ta kobieta została zabita we śnie; inaczej morderca nie mógłby jej przybić karty.

— Chyba, że poprzednio wetknął kartę na sztylet, aby krew zatamować.

— I to możliwe....

— Będziemy się zastanawiali nad możliwościami potem — rzekł szef policji wstając. — Na początku nie należy nigdy rozpraszać uwagi na szczegóły. A sprawa narobi hałasu to pewna, trzeba więc działać bardzo ostrożnie i systematycznie. Przewiduję ogromne trudności, ale są też wskazówki, ta karta naprzykład...

— Kto wie, czy jej nie zatknięto, aby nas wprowadzić na trop fałszywy — nadmienił lekarz.

— Gdybym wszedł na trop fałszywy, to niedługo na nim zostanę, bądź pan o to spokojny. A chcąc się oprzeć na pewnych podstawach, zacznę od zbadania tragarza. Posądzam go, że nie jest wspólnikiem płatnym. Postawcie skrzynię na dawne miejsce i przyprowadźcie mi tego chłopca. Panie doktorze, rozpoczniemy znowu badanie o trzeciej po południu, w sali autopsji, w la Margue.

— Obawiam się, że to badanie nic nie wykaże. Pańska przenikliwość odda większe usługi sprawiedliwości, niżli moja nauka.

Skrzynia znikła już pod łóżkiem obozowem. Szef policyi usiadł przy stole, przy którym brygadyer pisał raport.

Upłynęło sporo czasu, zanim przyprowadzono więźnia.

Niepodobna go było się dobudzić, wszedł przecierając sobie oczy.

Szef policyi patrzył na niego oczyma, które umiały przeniknąć do głębi duszy najprzewrotniejszych przestępców.

Ale więzień wytrzymał to spojrzenie z zupełną obojętnością. Jego twarz okrągła pozostała bez wyrazu, lecz odbiło się na niej znudzenie, gdy miarkował, że go badają.

Szef policyi przyglądał się nieznacznie jego ruchom, jego całej postaci, jego ubraniu, kształtowi rąk, kolorowi skóry, słowem tysiącom drobnych szczegółów, które nie zwracają uwagi obserwatorów powierzchownych, a które jednak mogą wskazać charakter, stanowisko społeczne i zwyczaje.

— Ten człowiek nie jest głównym sprawcą zbrodni — myślał. — Kto ma takie chłopskie ręce i nogi i barki tragarza, ten nie przybija damy pikowej do serca kobiety. Ale człowiek ten został opłaconym przez zbrodniarza, zna go i musi go wydać dobrowolnie lub nieświadomie... Co zaś do jego głupoty, to stare sztuki.

Po takim monologu wewnętrznym, szef policyi wyjął z kieszeni notatnik, udał, że coś zapisuje i wreszcie nie podnosząc oczu, rzekł łagodnie:

— Wszak wiedziałeś, mój chłopcze, co jest w skrzyni?

Spodziewał się, że podsądny, wzięty z nienacka, odpowie; nie zdziwiło go jednak, że milczał.

— Rozumiem — rzekł — postanowiłeś udawać głuchego, ale znamy się na tem, to też radzę ci odstąpić od tego zamiaru, bo i tak wcześniej czy później, będziesz musiał go zaniechać, gdy cię podtrzymamy w więzieniu. Zresztą w twoim własnym interesie powinieneś mówić prawdę, bo zdaje mi się, żeś niewinny. Odegrałeś w tej sprawie rolę podrzędną, a jeśli zechcesz nam wymienić człowieka, który ci kazał nieść skrzynię, to najlepiej tem swoją niewinność okażesz. Postaram się nawet, by cię wypuszczono na wolność.

Podsądny ani drgnął wobec tych słów obiecujących. Odpowiedział jednak wymownie, podnosząc palec do ust i do uszu.

— Chcesz we mnie wmówić, żeś głuchoniemy — ciągnął dalej szef policyi. — No, zobaczymy. Znam wszystkie języki, nawet mowę głuchych.

Istotnie umiał rozmawiać na migi. Zaczął więc robić znaki, które każdy niemowa rozumie.

Tragarz patrzył na jego ręce z zaciekawieniem, na twarzy jego odbiło się widocznie niezadowolenie, jak gdyby był zły, że nie rozumie, ale widocznie było, że nie rozumie istotnie.

— Ho! ho! — pomyślał szef policyi — chytrzejszy, niż sądziłem, ale nie miarkuje, że sam sobie szkodzi. Głuchoniemy w tym wieku, nie znający migów, to okaz niebywały. Teraz już ręczę, że łotr słyszy, nie gorzej odemnie. Spróbuję jeszcze jednego sposobu.

Na dużym arkuszu papieru skreślił kilka słów i podsunął je pod oczy więźniowi.

„Od ciebie jedynie zależy uniknąć gilotyny. Jeśli jednak będziesz milczał, będziesz skazany na śmierć i ścięty, ja ci powiadam, ja który posłałem na gilotynę siedemnastu ludzi, mniej skompromitowanych od ciebie.“

Chłopak rzucił okiem na papier i wpatrzył się w niego takiemi oczyma, jak dziki Australijczyk, wreszcie głową wstrząsnął.

— Tam do licha — myślał szef policyi — jeżeli też nie jest głuchoniemym, to należy mu przyznać, że lepszego komedjanta niemasz na świecie. No, teraz kolej na środek niezawodny.

Wstał, skinął na brygadyera i porozmawiał z nim chwilę na korytarzu, potem wrócił, usiadł znowu przy stole i zaczął przeglądać regestra.

Podsądny stał między dwoma sierżantami, obojętny, znudzony.

— No — rzekł szef policyi, widzę, żem się omylił. Wziąłem cię za zbiegłego z galer, którego już od miesiąca szukamy, ale przekonałem się, że rysopis tego człowieka nie odpowiada twojemu wzrostowi. Możesz sobie iść, mój chłopcze.

— Podsądny ani drgnął.

— Puście go — rzekł naczelnik — i dajcie mu szklankę wody, żeby ze strachu ochłonął. Musiała na nim ścierpnąć skóra.

Sierżanci spełnili rozkaz, ale podsądny nie ruszył się.

Wówczas naczelnik mrugnął nieznacznie na brygadyera stojącego w drugim końcu sali. Ten wystrzelił w powietrze.

Podsądny nie drgnął nawet, lecz gdy zapach prochu doleciał, zaczął się trzeć po nosie i odwrócił się, żeby zobaczyć, co się stało.

Tym razem próba była decydująca.

— Zaczynam wierzyć, że jest istotnie głuchym — szepnął naczelnik — i obawiam się, że ten hultaj nawarzy nam piwa.

Nagle, uderzając się w czoło, mruknął przez zęby:

— Muszę pójść do ojca Lecoq. On jeden może nas wyprowadzić z tej matni. Brygadyerze — dodał głośno — odprowadzić tego łotra do więzienia, skrzynię odnieść do la Morgue. Chodź panie doktorze, nic już tu nie pozostaje do roboty.

## ROZDZIAŁ II.

Nadbrzeżna ulica Conti jest jedną z najweselszych w Paryżu, domy wznoszące się pomiędzy Mennicą a Instytutem są najwspanialszemi na tej wesołej ulicy, a te wesołe domy nie mają weselszego lokatora od p. Lecoq de Gentilly.

Posiadacz tych dwóch nazwisk, niezbyt dopasowanych do siebie, jest rześkim staruszkiem, płaci regularnie komorne za swój ładny apartament i uchodzi za bogatego człowieka.

Jest to najsłodszy, najmilszy, najuprzejmiejszy z obywateli tej dzielnicy, w której się osiedlił już od lat dziewięciu. Nikt nie może się z nim mierzyć pod względem regularności życia. Jada śniadanie, wychodzi na spacer, wraca, je obiad i kładzie się spać, zawsze o jednych i tych samych godzinach.

O dwunastej można go zawsze widzieć opartym o poręcz mostu Pont Royal, w czterdzieści minut potem sypie chleb wróblom w Tuilerjach. Od drugiej do czwartej łowi ryby na wędkę pod pierwszemi łukami mostu Zgody.

Zmienia swój program tylko w niedzielę. Syn przychodzi do niego na śniadanie, i razem spędzają dzień na świeżem powietrzu, za miastem.

P. Lecoq de Gentilly ma bowiem syna, ładnego 28-letniego chłopca, kocha go serdecznie, choć się z nim widuje tylko raz na tydzień.

Ten syn uzyskał stopień doktora obojga praw i powiadają, że zamierza nabyć kancelaryę regentalną, w której pracuje.

Ojciec ma z czego zapłacić tę tranzakcyę; przez 20 lat odkładał pieniądze i zebrało się ich sporo, przytem myśli o bogatym ożenku dla syna i ma już coś napiętego.

P. Lecoq de Gentilly szanowany jest wielce przez swojego gospodarza, swoich sąsiadów i dostawców, właściwie nikt nie wie, czem się dawniej zajmował, ani w jaki sposób zdobył majątek.

Z początku ludzie byli ciekawi, wypytywano o jego przeszłość, drwiono nawet potroszę z przydomka de Gentilly, przypiętego do nazwiska Lecoq, jak kwiatek do kożucha; twierdzono, że p. Lecoq urodził się poprostu w Gentilly pod Paryżem, i że, jak wielu innych, bez wiadomości urzędu heraldji, sam siebie kreował panem na tej wiosce.

Ale te drwiny umilkły z czasem, gdyż nowoprzybyły ujął sobie wszystkich, nawet odźwierną, która nie nazywała go inaczej, jak panem de Gentilly.

Nie chodziło mu coprawda o ten przydomek, był bardzo skromny, dobroduszny, rozmawiał chętnie z kramarzami, stojącymi u drzwi swoich sklepów, interesował się ich powodzeniem, znał po imieniu wszystkie dzieci na całej ulicy i miał dla nich zawsze łakocie.

O jego uczynności opowiadano długo i szeroko. Przytaczano nazwiska rodzin, które kredytem swoim uchronił od ruiny. Był opatrznością swej dzielnicy, udawano się do niego zawsze po radę i pomoc, a chętnie ich udzielał. Znał wszystkich, o każdym mógł coś powiedzieć, choć w plotki się nie bawił.

Ten wszystko wiedzący dobroczynny staruszek, był nie kim innym, jeno policyantem Lecoq, którego działalność unieśmiertelnił Gaboriau.

Lecoq nie zaparł się swego nazwiska, lecz je tylko przedłużył, ze względu na przyszłość i stanowisko syna, albowiem chciał go wprowadzić do burżuazyi, lubującej się w pięknie brzmiących przydomkach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

## TOM III.

(Ciąg dalszy.)

### ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY.

**Wyjaśniona omyłka.**

Gdy po kilku minutach weszła młoda dziewczyna w towarzystwie policjanta do biura, powitał ją Ferris bardzo uprzejmie i posunął jej najwygodniejszy fotel.

— Dlaczego przysłałeś pan po mnie? „spytała.“ Czy mam zeznanie moje raz jeszcze powtórzyć?

— Nie! W słowach pani tyle było sprzeczności, że ani ja ani wogóle nikt nie może ci uwierzyć. Nie chodzi zresztą teraz wcale o to, kazałem cię tu raczej prosić, aby wyjaśnić pewną omyłkę. Pan Hickory, szukając mordercy posunął się nieco za daleko i oszukał cię niegodnie!

— Nie rozumiem tego, — rzekła zdumiona.

Ferris odpowiedział jej w krótkich słowach całą prawdę, Hickory zaś stał w milczeniu z miną skruszonego grzesznika.

— Więc to nie Eryk wezwał mnie wtenczas, — krzyknęła Iwona przerażona, gdy Ferris skończył mówić.

— Nie, to ja, — szepnął Hickory nieśmiało.

— I nie przyznał się do zbrodni! Boże Wielki! Czemu dopiero teraz dowiaduję się o tem! — wołała z rozpaczą.

— Żałuję tego niezmiernie — rzekł Ferris. — Fakt, że pani byłaś przekonaną o winie oskarżonego, wywarł naturalnie wielkie wrażenie na przysięgłych i usposobił ich niekorzystnie dla niego. Chciałbym panią chętnie pocieszyć, wobec tego jednak, jak rzeczy stoją, mogę cię tylko prosić, abyś miała zaufanie do sprawiedliwości tych, którzy się sprawą tą zajmują. Szaleństwo dzisiejsze twoje uznają wszyscy jako takie i wybaczą ci je.....

— Dziękuję panu, — szepnęła drżącemi ustami, — ale bądź co bądź, dla mnie nadziei już nie ma!

Iwona wierzyła zawsze jeszcze w winę Eryka!

— Zechcesz pani wrócić teraz pewnie do domu, — odezwał się znowu Ferris.

— Tak, proszę tylko o doróżkę.

Na znak adwokata wybiegli obydwaj policyanci, aby wypełnić jej życzenie.

— Zanim pani odejdziesz, — rzekł Ferris, — prosiłbym cię raz jeszcze, abyś nie traciła cierpliwości. Najmniejsza nieostrożność z twej strony mogłaby wszystko popsuć. Słuchaj mej rady: zostań w twoim pokoju i bądź pewną, że Orkut i ja uczynimy co tylko możemy, aby wykryć prawdę i ocalić niewinnego.

W tejże chwili dał się słyszeć turkot nadjeżdżającej doróżki, równocześnie zaś stanęli policjanci na progu. Iwona pożegnała wszystkich lekkiem skinieniem głowy, i wyszła w milczeniu.

— Musimy czuwać nad nią i pilnować jej nieustannie, — rzekł adwokat do policjantów.

Byrd i Hickory zamienili z sobą znaczące spojrzenie.

— Nie spuścimy jej z oka ani na chwilę, — odparł Byrd poważnie.

### ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY.

**Pod wielkiem drzewem.**

W pokoju w willi profesora Darlinga, w której Iwona wawsze jeszcze mieszkała, cicho było i samotnie, ale ta cisza właśnie wywierała zbawienny wpływ na rozdrażnione do najpyższego stopnia nerwy młodej dziewczyny. Policjanci stali trzy drzwiach domu, ukryci wśród drzew i krzewów i pazrzeli uważnie na okna jej sypialni. Jeden z nich byłby sam tutaj wystarczał, żaden jednak ustąpić nie chciał, pomimo, że obecność ich wcale tu potrzebną nie była, pocóż bowiem miałaby Iwona dziś jeszcze wychodzić z domu?

I tak minęło kilka godzin, noc się zbliżała, a w pokoju Iwony jaśniała lampa, dowodząca tamże jej bytności.

Ale nagle zgasło światło, i zaraz potem otworzono ostrożnie sienne drzwi. Wysoka postać kobieca, okryta grubym, ciemnym szalem, wysunęła się cicho, i pobiegła szybko w kierunku miasta.

Byrd i Hickory udali się w pewnej odległości za nią.

— Dokąd ona idzie, szepnął Byrd.

— Może do panny Tremen. Gimnazjum jest tu w bliskości.

Iwona skręciła jednak na lewo, i minęła mieszkanie dyrektora.

— Ach, wiem już! — zawołał Hickory, — panna Dare idzie do Orkuta!

Tak było istotnie. Iwona wbiegła na mały dziedziniec, ujrzawszy zaś światło w pracowni adwokata, stanęła na chwilę na werandzie i spojrzała do wnętrza pokoju. Na zegarze ratuszowym wybiła dziesiąta. Widok, jaki się oczom jej teraz przedstawił, wzruszył ją do głębi. Orkut siedział przed kominkiem, na którym ogień dawno zagasł, obok niego leżały na ziemi rozmaite porozrzucane papiery, których nie czytał, a lampa paliła się ciemno i nierówno, jak gasnące życie człowieka. Twarzy adwokata nie mogła Iwona wprawdzie widzieć, ale cała jego postać zgarbiona i jak gdyby zapadła, wyrażała tyle beznadziejnej rozpaczy. że serce jej ścisnęło się mimowoli serdecznym żalem. I to ona była powodem tego smůtku, ona, która teraz znowu przychodziła do niego po radę i pomoc dla siebie i dla jego rywala!

— A jednak tak być musi, pomyślała, i zbliżywszy się do okna, zapukała w szybę.

Orkut zerwał się natychmiast.

— Kto tam? — zawołał.

Poznał ją jednak zaraz, i po chwili otworzył drzwi. Iwona stała przed nim.

— Czego pani chcesz jeszcze odemnie, — krzyknął szorstko, — po co przychodzisz po tem, co się dziś stało?

Czy nie dosyć, że od dawna już bawiłaś się moją miłością, moją rozpaczą? Dlaczego musiałaś w ostatniej chwili popełnić takie szaleństwo, i oskarżyć się publicznie o popełnienie zbrodni? To ma pewnie być nagrodą dla mnie za poświęcenie i usiłowania moje, aby człowieka tego ocalić i pozyskać twoją rękę!

Każda kobieta byłaby tak samo postąpiła, — odrzekła Iwona spokojnie, — i byłaby wyznała prawdę.

— Prawdę! — powtórzył, śmiejąc się szyderczo, — czyś zmysły straciła? I wobec mnie chcesz odgrywać — dalej tę nędzną komedję? Zmarnowałaś moje szczęście twym szalonym postępkiem, i.....

— O to nie chodzi, co uczyniłam, bo tego już zmienić nie można. Ale pomimo wszystkiego, — dodała z rozpaczą, — nie mogłam ocalić Eryka!

— Więc zawsze tylko on, o mnie zaś nie myślisz wcale!

— Kto jest wobec świata tak shańbionym, jak ja, ten już nie może mieć pretensji do szczęścia. Gdybym teraz śmiała jeszcze podnieść oczy na pana, to byłoby obrazą dla ciebie.

Iwona miała słuszność! Orkut wiedział to sam, jakże bowiem człowiek uczciwy i urzędnik ogólnie szanowany mógłby się ożenić z dziewczyną, której kochanek był oskarżony o zbrodnię, i która winę tę na siebie przyjąć chciała, byleby jego ocalić!

— Dlaczego uczyniłaś to? — zapytał po chwili nieco łagodniej. — Dlaczego nie ufałaś mi? Wszakże przyrzekłem ci jego wolność!

— Gdybym była wobec sądu zeznała to, czego pan Ferris żądał, to Eryk byłby zgubiony bez ratunku!

— Więc popełniłaś krzywoprzysięztwo!

— Tak, — rzekła głucho. — Zapomniałam jednak o tem, że Bóg karze kłamstwo!

— Żałujesz zatem, że zniszczyłaś moje szczęście całe?

— Żałuję, że nie ufałam Bogu i że wogóle prawdę mówiłam!

— Niestety, trochę to zapóźno, — rzekł szyderczo.

Miałam słuszne powody wierzenia w jego winę, bo nietylko, że wszystkie pozory świadczyły przeciwko niemu, ale nadto widziałam go na własne oczy, uciekającego z domu pani Klimmer w chwili, w której morderstwo musiało być popełnionem.

— Nie może być! — szepnął Orkut zmienionym głosem.

Iwona opowiedziała mu, co wówczas widziała przez lunetę.

— Dziwne to, bardzo dziwne, — mówił Orkut. — Możnaby doprawdy myśleć, że Bóg istnieje.....

— Jakto, — zawołała Iwona przerażona. — Czyś pan wątpił o tem? O, sąd Boży jest straszny! Żąda on krwi za krew i karze ciężko winnego! Gdyby Eryk.....

— Znowu Mansell, — przerwał Orkut gwałtownie. — Tego już zanadto! Wyrzeknij się raz już człowieka, który cię nie kocha, który.....

— Milcz pan! miej litość nademną!

— Nie, nie zasługujesz na to! Wiedz zatem, że twój Mansell ukochany tak wierzy twoim słowom, że gdy dziś przyznałaś się do zbrodni.....

Co? — zawołała, chwytając go za rękę, — co on wierzy?

— Że jesteś rzeczywiście zbrodniarką, że zabiłaś panią Klimmer! Przypuszczał on to od samego początku, i na pierwszą wiadomość o morderstwie podejrzewał ciebie o to! Takie ma więc wyobrażenie o kobiecie, która go kocha!

— To być nie może! — wyjąkała Iwona. — Pan żartujesz chyba.....

— Bynajmniej! Nie domyślałaś się więc tego? Przecież dosyć wyraźnie okazywał ci swoją pogardę!

— Więc to prawda?.... Ach, mnie już tak oszukano, że nie śmiem wierzyć nawet najlepszemu przyjacielowi! Więc on mnie uważa za zbrodniarkę? Możesz mi pan na to przysiądz?

— Naturalnie!

Iwona wyciągnęła ręce i upadła na kolana.

— Boże! Boże! — zawołała, — dziękuję ci! Pozwól mi przeżyć tę radość ogromną!

Orkut osłupiał.

— Radość? — powtórzył bezmyślnie.

— Tak, — odrzekła, podnosząc się. — Bo jeżeli on myśli, że ja zabiłam panią Klimmer, to przecież on musi być niewinnym! Nie, Eryku, — zawołała rozpromieniona, — ty nie jesteś mordercą, wszystko to było strasznym snem tylko! Teraz ocalę cię, niewinny cierpieć nie może! Oko Boga widziało mordercę a ręka Jego wskaże go nam, chociażby się ukrył na drugim końcu świata.

— Zdaje się, że bardzo nagle zmieniłaś pani przekonanie, — rzekł Orkut z gorżkim uśmiechem.

— O to nie chodzi teraz wcale! Eryk jest niewinnym, — powtarzała w najwyższem uniesieniu szczęścia. Oby Bóg raczył pamiętać o przekleństwie wdowy i ukarać winnego!

— Cicho, — szepnął Orkut. — Twoje usta nie mają przeklinać złoczyńcy. I bez tego nie minie go zasłużona kara!

— Powiedz mi pan tylko, kto jest mordercą pani Klimmer!

— Sądziłem zawsze, — odrzekł ochrypłym głosem, — że Hildret zabił ją!

Twarz jego była w tej chwili tak dziwnie zmienioną, że Iwona mimowoli cofnęła się ku drzwiom.

— Bóg sam czyta w sercach ludzi, — zawołała uroczyście, — ale głos wewnętrzny mówi mi, że on jest niewinnym!

Orkut milczał.

— Muszę teraz wracać do domu, — rzekła Iwona, okrywając się szalem.

— Odprowadzę panią!

I po chwili wyszli oboje na dziedziniec.

* * *

Co się stało z policjantami?

Byrd i Hickory podsunęli się ostrożnie pod okno Orkuta, ale tego, o czem adwokat z Iwoną rozmawiał, słyszeć nie mogli. Gdy ujrzeli, że Iwona bierze szal i zabiera się do odejścia, opuścili niewygodne stanowisko pod oknem i pobiegli do ogrodu, aby ztamtąd śledzić dalej młodą dziewczynę. Ogród, otaczający dom Orkuta pełen był starych olbrzymich drzew, których wierzchołki poruszał teraz gwałtownie silny wiatr.

Zamiast przejść dziedziniec, zwróciła się Iwona na lewo, tam, gdzie stali policyanci. Droga przez ogród była bliższą i wygodniejszą, więc też wolała wracać tędy do domu. Orkut szedł obok niej milczący i zamyślony.

— Orkut minął to wielkie drzewo, — szepnął Byrd, — pójdziemy za nimi. Może zdołamy posłyszeć coś z ich rozmowy!

Teraz właśnie stanęli pod owem drzewem.

— Zaczekaj pani, — rzekł Orkut, ujmując rękę dziewczęcia. — Nie możemy się tak rozstawać. Eryk Mansell będzie wolnym, uczynię wszystko, co chcesz, Iwono!

— Nie moje życzenie, tylko pana obowiązek jako obrońcy człowieka niewinnego jest miarodajnym, — odpowiedziała chłodno.

Długo powstrzymywana namiętność Orkuta wybuchła teraz z taką gwałtownością, o jakiej policyanci nigdy nawet nie byliby myśleli.

— Oh, Iwono, — zawołał, — coś ty ze mnie zrobiła! Zanim poznałem ciebie, uważałem honor i obowiązek za najwyższe dobro człowieka! Praca była największem mojem szczęściem! ot teraz? Teraz wszystko mi obojętne, i jedna myśl tylko zajmuje mnie wyłącznie, myśl o tobie, i obawa, że do innego należeć będziesz!

— Nigdy! odrzekła — Eryk i ja — jesteśmy na zawsze rozłączeni. Nie zapomnij pan, że hańba cięży na mojem imieniu. Gdy się przed sądem dobrowolnie oskarżyłam o zbrodnię, pożegnałam na wieki szczęście mego życia!

Orkut zamyślił się na chwilę.

— Zwyciężyłaś, Iwono, — rzekł w końcu głucho. — Jeżeli winny ma ponieść karę za zbrodnię, to nie Eryk Mansell tylko...

Nie dokończył jednak. Okropny łoskot dał się nagle słyszeć nad ich głowami, w powietrzu zaszeleściało złowrogo, i na miejsce, na którem stał Orkut obok Iwony, spadła ogromna, gruba gałęź; Byrd zadrżał.

— Sąd Boży! — szepnął głęboko wzruszony. — Iwona Dare jest jednak winną!

Po nadludzkich prawie usiłowaniach zdołali podnieść olbrzymią gałęź, Na ziemi leżał Orkut, tuż obok Iwona, ale jedna tylko postać została nieruchomą, a tą nie była Iwona, tylko — Orkut! —

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY.

### Zadziwiające słowa.

— Orkut nie żyje?

— Żyje jeszcze, ale chwile jego są policzone!

— Jak się to stało? Gdzie?

— W jego własnym ogrodzie. Spadająca gałęź uderzyła go!

Ferris był tak przerażony wiadomością, którą mu Byrd bezpośrednio po tym wypadku przyniósł, że nie mógł się wcale uspokoić. Byrd i Hickory czuli się również wzruszonymi.

— Obecność pana jest tam konieczną. — rzekł Hickory. Umierający odzyska może przytomność, i, i panna Dare znajduje się tam również!

Ferris nie namyślał się ani chwili, nie trwało też długo a biegł z Hickorym do domu przyjaciela.

W pokoju umierającego był doktor Tredwell oraz kilku znajomych adwokata, którym dano już znać o nieszczęśliwym wypadku.

— Jakże się miewa chory? zapytał Ferris.

— Źle, — odrzekł doktor, prowadząc go do łóżka.

Ferris zatrzymał się nagle i potarł czoło ręką, jak gdyby chciał odpędzić jakieś straszne myśli.

— Doktorze — szepnął, — zdaje mi się, że raz już widzieliśmy to samo. Okropne wspomnienie budzi się we mnie!

Było to rzeczywiście powtórzenie sceny, jakiej świadkami byli przed kilku tygodniami. Na łóżku leżała postać nieruchoma, nieprzytomna, o skamieniałej twarzy, blizka śmierci. Gałęź uderzyła Orkuta w głowę i zraniła tak samo, jak wówczas panią Klimmer zranił morderca, i ten sam lekarz stał teraz przy umierającym. Po drugiej stronie łóżka jednak siedziała Iwona Dare z oczami wlepionemi w twarz adwokata, a nikt, nawet siostra, nie śmiała jej ztamtąd oddalić.

— Więc nie ma nadziei? — szepnął Ferris.

— Nie. Rana ta jest śmiertelną i ma wielkie podobieństwo do rany pani Klimmer. Orkut odzyska może jeszcze przytomność, ale godziny jego są policzone. Dzięki Bogu, że tym razem nie chodzi o morderstwo! Panna Dare.....

— Jakim sposobem była ona z nim razem?

— Orkut odprowadzał ją właśnie, gałęz spadła na nich obojga!

— I nie zraniła je ?

— Wcale nie!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Niemczaki.

Napisała

MARYA KONOPNICKA.

Poszła za Niemca. No, trudno! Tego już nikt nie zmieni. Nie była zresztą Wandą, była Felcią; nie mieszkała nawet nad Wisłą.

Dwór wiejski, z którego była rodem, zapadał się wiek po wieku i belka po belce w ten klin żyznej ziemi, która, między Nerem a Wartą leżąc, łęczycaków od kaliszanów grodzi. Inaczej, gęściej jeszcze i hałaśliwiej szłyby między nimi owe stare spory, które, z jakichkolwiek przyczyn powstałe, regularnie się kończą jednym argumentem: ze strony kaliszanów, że łęczycaki, jak piskorze piją, a ze strony łęczycaków, że kaliszany kiedyś tam zblamowali się szpetną rejteradą. Ano, Bóg z nimi.

Zapadał się tedy ów dwór stary, belka po belce i wiek po wieku; syny po ojcach, wnuki po dziadach szły, a nad każdem pokoleniem pułap coraz to był niższy, coraz to bardziej tłoczący. Aż ścisnął ich wreszcie tak, że ze starego prastarego gniazda wyszli i po świecie roztułali się jakoś.

Synów miał ostatni dziedzic kilku; poszło to, jakby tem wiatr pomiótł, tam, sam, nie wybierając wielce, a całą fortunę w węzełkach niosąc. Ale córka jedna była, Felcia. Tę, gdy się krewnej na opiekę do Prus dostała, Niemiec jeden upodobał sobie wielce, a że był młody, przystojny, pracowity i proceder kupiecki dość mu zysków czynił, wyszła za niego dziewczyna, nad czem stary pan starego, dworu, teraz na rezydencyi u krewniaków aż gdzieś w ziemi krakowskiej siedzący, długo bolał skrycie.

Co do Felci, ta była szczęśliwą.

— Takie to tam i szczęście! — mawiał stary pan, paląc długą fajkę i kiwając głową. Postaw z bławatu, a wątek pacześny!

Zachmurzał się i mówić o tem wogóle nie lubił i listy nawet do córki dawał adresować komu innemu, żeby własną ręką nie stwierdzać zniemczenia się rodu. Co do zięcia, tego stale „szwabem“ lub „kupczykiem“ nazywał; a gdy mu z biegiem czasu dwóch wnuków przybyło —

— Tem gorzej! — mawiał — tem gorzej! Lepiej, żeby to zgasło, niż ma degenerować.

I rzeczywiście, zaczęło się jakoś na zgaśnięcie mieć, bo chłopaczki były delikatne i wątłe, czem się matka niemało trapiła.

— Chłopaczki moje biedne — pisała do krewniaków w Krakowskie — nie mają tego powietrza, jakiem oddycha droga wasza dziatwa! Nie mają pól, nie mają łąk, żeby biegać po nich, nie mają zapachu lasów, rosy, kwiatów, nie mają słońca naszego, coby ich krzepiło....

— Jak myślisz? — rzekł gospodarz po liście tym do żony. Możeby tych tam malców Felci na wakacye wziąć?

— A może!

Ale stary pan oburknął się na to.

— Jak tak — mówi — jak mi tu sprowadzać chcecie tych niemczaków, to ja się zawczasu wynoszę!

Nie wyniósł się jednak. Miał tu wygodę, czuł serce, a nadewszystko tę atmosferę obywatelskiego życia, od której późno mu było odwykać. Tu jeszcze mógł, w ganku stanąwszy, huknąć na całe gardło: „Zaprzęgaj: tak, że echo, po trzykroć od węgłów stodoły odbite, aż u lamusa gdzieś cichło. Tu chłop, przechodzący mimo dworu, czapkę jeszcze zdejmował, czy był kto, czy nie był w ganku. Tu, co niedziela siadywał w kolatorskiej ławce, gdzie mu gospodarz, jako starszemu wiekiem, przy kobietach miejsca ustępował, tu wreszcie miał swoją własną wyżlicę „Czajkę“ i nie mniej sławną strzelbę „porucznikówkę“, z której sobie lubił czasem do wron puknąć. Słowem, tu jeszcze pod nogami grunt czuł, był obywatelem.

Nie wyniósł się tedy. A choć się zżymał, kiedy listy, układające podróż chłopców, zaczęły gęściej latać, choć zamknął się, gdy konie po dzieci na stacyą szły, przecież posłyszawszy, jak wracająca nejtyczanka zaturkotała na pobrukowaniu, a Wojciech z bata palnął — wyszedł z fajką na ganek, a że ogromnego wzrostu był, chłopcom się przez głowy gospodarzy i domowników przyglądał.

Raźne to były, jak skierki ruchawe, eleganckie, opięte, ale zmizerowane bardzo. Twarzyczki bledziutkie, jasnowłose główki, ciałka szczupłe, rączyny i nożęta cienkie — ot, chucherka takie.

W ganku gospodarz uściskał ich serdecznie, gospodyni itakoż, czem dzieci jakby przestraszone nieco, kłaniały się na wszystkie strony, od rodziców widać pięknie wyuczone, jak z nut szczebiocąc jeden przez drugiego:

— *Guten Tag lieber Onkel!*

— *Guten Tag liebe Tante!*

— Tfu! — dało się słyszeć w tem miejscu energiczne splunięcie starego pana, w chwili właśnie, kiedy starszy z chłopiąt, siedmiolatek, recytował w powietrze, nie wiedząc właściwie do kogo się zwrócić:

— *Guten Tag liebster Gross-Papa!*

Służba parskała w garście śmiechem za plecami państwa. Te małe, pięknie ubrane i tak rezolutne paniczyki zupełnie jej się wydawały podobnymi do tych, nieprzymierzając, małpek uczonych, które niedźwiednik na ramieniu nosi. Słyszane rzeczy, żeby zaś takie bębny po niemiecku mówiły, jak te stare kolonisty z Ręczaja?

Ale gospodyni i gospodarz zachwyceni byli dzieciakami. Ich bystre, inteligentne twarzyczki, ich śmiałość, ich dobre ułożenie, ich obycie się z ludźmi, wszystko to podobało im się niezmiernie. Nawet ta ich subtelność chwytała za serce, takie to było przejrzyste, takie się proszące słońca i opieki. Domowe dzieci obstąpiły chłopców dokoła, dotykając ich pięknie skrojonych kurteczek, zręcznych kapelusików, torebek podróżnych, a nadewszystko rękawiczek, których nie nosiły jeszcze same. O witaniu rzecz prosta, nie było na teraz mowy: rekognoskowały dopiero. Jedna tylko trzechletnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone usta, dreptała od jednego do drugiego, zadzierając jasną główkę i obnosząc „buzi.“

Jak wody! jak wody, tak to dziecko tej buzi daje! Nic nie żałuje! — wołała zachwycona niania, pragnąc choć część powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieszczotkę.

Ale stary pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzył na malców z pod brwi siwych, zsuniętych, krzaczastych.

— No, jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. — Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę i sami przebyli!

— At! — machnął ręką zapytany — wsadzili ich, jak lalki w pudło, to i przyjechali.

— No, ale ładne chłopaki? sprytne? dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan, i odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni podprowadziła do dziadka. Poczem cofnął się i drzwi pokoju swego zamknął.

— Jakże ci na imię, kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec niebardzo wie, o co go pytają, Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś nie coś umie, ale nie tyle, żeby się rozmówić. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panieńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kaleczy... Jakże? Mama cały dzień w składzie, ojciec w kantorze, a służąca — Niemka.

Tak i tak dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprawdzie do wiadomości, ale się niemi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przylgnęła do nich szczelnie i odrazu nazwa, nadana przez dziadka: „Niemczaki.“

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba, we wsi, nikt chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

— Niemczaki, chcecie mleka?

— Niemczaki, spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wołać. Chłopaczki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkim porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też ta nazwa: „Niemczaki“ nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjaznego. Raz wraz owszem, powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie, jakie to Niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy Niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie Niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą! Czemu to wy nie jesteście tak jak Niemczaki posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli. i tak do nich jak skóra przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — Niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nieźle po polsku szczebiotać zaczęli, przez co się jeszcze milsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczakami przecież zostali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzył mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu; on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam toż jeden w całym domu nadawał tej nazwie „Niemczaki“ coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli jako żerdź po płocie, na kolana brał, piosenk

im stare gwizdał, myśliwskim swoim rogiem bawić się dawał. Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie bronił, ale Niemczakom — wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nic nie było wolno. Co gorsza, wyłączone były z „Instrukcyi.“ Instrukcyą nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj mustry, w której chłopcy to nosiły kije jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzały niemi na płoty, jak bagnetami, to machały, broniąc się i atakując, jak szpadą, to ciskały, jak oszczepem, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nieprzypuszczone do „Instrukcyi“ Niemczaki, stały tymczasem zdaleka, miłosiernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególniej, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce, z taką pożądliwością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do mustry? — rzecze raz i drugi.

— A im to na co? — odburknął stary pan gniewnie. A pomiarkowawszy się, dodał:

— Za słabi są na taką „Instrukcyę.“ Ręce jak patyki, nogi jak trzcinki, jeszczeby się to połamało do dyaska.

O tych rękach jak patykach i nogach jak trzcinkach, mówiło się — ot, aby mówić. Chłopaczki bowiem, harcując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmocniały, zjędrniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu też w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męzkiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, coby rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie — ot co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie to i nie rozumował nawet. On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas „Instrukcyi“ trzeba było szerzej front rozwinąć, albo wzmocnić flanki. Stary pan oglądał się wtedy i choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka, lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawiał.

Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen, albo na wygonie, w łaskach u koniarków był, bo im nieraz podwieczorek oddawał, za którą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam, pierwszego lepszego źrebca za grzywę chwytał, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką w nim rozwinęło siłę, że nawet do „Rokity“ śmiało szedł i na grzbiet mu skakał, choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdźca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy trzymane były w zupełnej tajemnicy: młodszy tylko Niemczak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza! Ale ten umiał sekret utrzymać i kawalerskim honorem, równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę „Instrukcyę“, przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców w lot chwytał. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął, i obganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące nieprzyjacielską potencyę — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie owem od pieluch był ćwiczył.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Ot, niemieckie małpiarstwo i tyle! Czy to składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę, i z tryumfem mimo ganku idąc, wznieśli okrzyk zwycięztwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wyuczył, stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał, a potem z cicha:

— A kto ich wie? A może!...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od „Instrukcyi“ trzymał.

Jakoś gospodarzowi markotno to było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek, po takiej właśnie „Instrukcyi“ podano, spojrzał na starszego z chłopców, i kładąc nogę w strzemię, krzyknął:

— Niemczak? Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął a młody rwisty koń w szczupakach z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten waryat z kulbaki wysadzi.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił,więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikiem zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodół znów wozy stały, za mało rąk mając do składania z nich użątku. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy!

Na przełaj zrażudjeździec chciał, ale mu konia na świeży podór żal było; ku drodze spojrzał, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopa, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym krokiem, ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słychać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i przewróciwszy go do góry krojem, ciągnęły po skibach. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdęły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok i tyleś go widział! właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! Paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozrzyna, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłąb pyłu polatywał drogą.

---

Stał pan stary w ganku i wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tentent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować, gdzie i z jakiej strony, już Rokita, jak wicher, na dziedziniec wleciał, a na Rokicie, trochę blady, ale tęgo trzymający się w siodle — Niemczak. Jasna perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

Wypuścił dziad cybuch, otwarł ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniach cały i za uzdeczkę chwytał, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza.... Nasz ród stary! poczciwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co Stefanie! — rzekł. — Choćbyśmy go Stachem nazwali? . . . .

. . . . . . . . . . . . . . .

Kiedy twardą jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagadał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec, po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

## Nasza Matka.

Z ziemi tej ona?... czy może aniołem?
Nie wiem, lecz widzę ją wśród mogił [zgliszczy,
Stoi samotna z podniesionem czołem.
Dwoje jej oczu światłem bólu błyszczy,
Bieli oblicze, jako biała chusta,
Co w mnogie składy obwiła jej postać,
Jakby do groźby wpółotwarte usta,
A ręka — niebios czy się sili dostać?
Że coraz wyżej prze się do nich drżąca..
Może ten zastęp chmur, co się gromadzi
Co skrył przed ziemią Boże dary słońca,
Wierzy, że ręką rozpaczną rozsadzi.

I któż jest ona?... może to duch chwały
Z snu wiekowego nagle przebudzony,
Przyszedł nawiedzić, znów te miljony

Które mu tyle laurów uskładały;
Lecz kiedy spojrzał, wszerz, wzdłuż tych [cmentarzy
I nie zobaczył za ich cichym progiem
Żadnego lica z tych wielkich mocarzy,
Znanych mu w sejmach i w polu przed [wrogiem;
Tylko chwast, osty i omszone groby,
Z boleści skargą wzniósł oczy w błękity,
Wyciągnął rękę i żalem rozbity
Tak, ot, skamieniał jak posąg Nioby.

I któż jest ona?! — widzę ją tam... stoi...
Ludzkiej postaci, twarzy jest niewieściej.
Może to anioł, co z niebios podwoi
Zszedł, jako mściciel tych umarłych cześci,
I chciałby może z chmur czeluści, dymów,
Zdjąć piorun, aby chłostą archanielską
. . . . . . . . . . . . . . . . .
Każdy chwast ziemi, każde podłe zielsko
Za jednym razem zetrzeć z lica globu.

Nie, to nie żaden z tych nieziemskich [gości...
Ona tak w ciało jak my obleczeni,
Lecz życie bolów i ogień miłości
Dał niebios światłość, która z niej pro- [mieni.
Widzę ją, stoi, biały jej płaszcz z płótna
To rwie się z wiatrem, co znów w jej [objęcia
Wraca, obwija pieszczotą dziecięcia
I szmerem pyta — czego taka smutna?!
Przypatrz się świętej, ile tam wyrazu
I rzewnej myśli w postaci jej całej,
Że te mogiły, choć z ziemi — choć z głazu
Drżą cichym płaczem, jakby ból jej znały.

Czyby to ona posłyszała drżenie?...
Bo jakiejś wiary błysło słońce w skroni
I myśl serdeczna przeleciała po niej,
Choć pierś bolesne wydała westchnienie.
Zwolna i ręka na pierś jej opada,
Z oczu dwa ognie nadziei zalśniły,
Zadrżały wargi — i pieśń jak kaskada
Pociekła ciemnym szlakiem przez mogiły.
I ciecze dźwięcząc niestrojnie, niezgodnie,
Tęskno, boleśnie, urwano i krótko.
Lecz na niejednym i dźwiękiem i zwrotką,
Serce choć boli, to rośnie i młodnie.

## Śpiew.

. . . . . . . . . . . komu?
Powiem co mię biedzi?!
Miałam dom i dziatki w domu
I dostatki,
Chwałę, cnotę;
Źli sąsiedzi
Wzięli dom, wzięli mienie
Zostawili... co?... cierpienie!
Wzięli cnotę,
Zostawili - co?!... sromotę!

Szumi niebo burzą zdal,
Kto ma mienie, kto ma dach,
Żal mu mienia, dachu żal,
Burzy strach!...

Coraz krwawiej łuna świeci,
Piorun rozbłysł, padł z tych fal,
Kto ma żonę, kto ma dzieci,
Żal mu żony, dzieci żal,
Umrzeć strach!

Ja wam mówię, rzućcie dom,
Mienie, żonę, dziatki,
Do mnie, do mnie, do swej matki,
Serce moje, to wasz dom,
Wasze mienie, żona, dziatki.
Zdejmcie wprzódy wasz — mój srom
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . .
. . . . czego się dziś straszym?!
Czy w odległej czasów toni
Strach był kiedy ojcom waszym
Czyjej grozy, czyjej broni!...
Na głos matki jak dziś rzewny
Z objęć szczęścia, z lubych ramion,
Każdy swej zniewagi gniewny
Biegł w szeregi bratnich znamion.
Toż jak ziemi ten szmat wielki,
Co Ojczyzną waszą zwiecie,
Ziarna piasku, wód kropelki
Bez krwi ojców nie znajdziecie.
Chwast tych mogił swym szelestem,
Kamień, co w mech porósł cały,
Mówią: z prochów, z waszej chwały,
Ja tu żyję, rosnę, jestem.

Nie!... wy waszym ojcom wierni,
Dziedzice ich wielkich czynów,
Choć na skroni nie z wawrzynów,
Lecz wam wieniec świeci z cierni,
Nie zaśniecie na sen wieczny,
Przyjdzie pamięć k'wam rodzima,
Która jak miecz obosieczny
Błyskać będzie przed oczyma
Waszych uczuć, duszy waszej,
Takim blaskiem straszyć będzie,
Aż sumienie w was wystraszy,
I miłości z was dobędzie.

Ucichła.... długo, długo jeszcze echo,
Między mogiły grało pieśń matczyną,
To bólu dźwiękiem, to znowu pociechą,
Wreszcie ucichło, a ona jedyną.
Samą została na szlakach cmentarnych.
Po nad jej głową wicher niesie burze,
Po nad jej głową całuny chmur czarnych
W ogniu błyskawic, niby w krwi purpurze.
Widzę ją, stoi... czegóż stoi ona?!
Czy tych umarłych zmartwychwstania [czeka?
Niewiem... lecz widzę jej postać z daleka,
Po nad mogiły ciałem nachylona. —
Otwarła ręce, jakby do swej piersi
Chciała przycisnąć . . . . . . .
Tych, co przybiegną na jej głos najpierwsi
I rzekną: Matko! błogosław! my wolni!..

*Władysław Surtelewski.*

---



---

W końcu bieżącego miesiąca rozpoczniemy druk oryginalnie na zamówienie „Pracy“ napisanej powieści p. t.:

## „Przez ciernie i głogi.“

Autorem jest **Dr. Kazimierz Rakowski,** dawny redaktor naczelny naszego pisma, autor cenionego dzieła o powstaniu poznańskiem, jak niemniej odznaczonego na konkursie krajowym dramatu.

Powieść **„Przez ciernie i głogi“** zainteresować musi każdego, w niej bowiem zamierza autor, tak dobrze obeznany z naszem politycznem życiem i po dziś dzień czynny w niem biorąc udział, odzwierciadlić nasze walki polityczne o utrzymanie naszej narodowości. Będzie to więc **powieść polityczna,** do której dostarczą wątka wypadki ostatnich czasów. Ujrzymy w niej rozkładową robotę i komisyi kolonizacyjnej i zniepra-wienie jednostek — i młodzież rwącą się do życia — i nędzę ekonomiczną, która trapi rzemieślnika — i postacie z rozmaitych warstw na wychodźtwie.

**„Przez ciernie i głogi“** — to historya młodego syna obywatelskiego, który, będąc niejako wyobrazicielem starych naszych społecznych stosunków, zmuszony jest szukać kawałka chleba wśród obcych, a tam, przeszedłszy cały szereg prób, na jakie los wystawia człowieka, wraca do kraju wyszedłszy z nich zwycięzko, — wraca przetrawiony, przekształcony, silny i pewny, aby jako wyobraziciel nowego pokolenia stanąć przy standarze narodowym — i zwyciężyć.

Przez te „ciernie i głogi“ przejdzie z czasem całe nasze społeczeństwo.

---

***Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numery „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.***

***Zwracamy uwagę, że druk numeru kończy się w czwartek, najpóźniej w środę nadesłane muszą być inseraty, które do najbliższego numeru wejść mają.***

***Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.***

***Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.***

---

## Nasze illustracye.

**Rysunek do obrazu „Bitwa Racławicka“**, który przedstawia illustracya albumowa, sporządził nasz nieśmiertelny mistrz pędzla, Jan Matejko, zanim przystąpił do malowania słynnego obrazu: „Bitwa Racławicka“. Obraz ten znajduje się w Muzeum narodowem w Sukiennicach w Krakowie.

# Wiadomości.

— **„Bankowi Parcelacyjnemu“** zarzuca „Dziennik Poznański“, że odnośny Bank z pominięciem pism polskich zamieszcza swe ogłoszenia w Grudziądzkim „Geselligerze“.

My nie podzielamy zdania „Dziennika Pozn.“, gdyż wiemy z własnego doświadczenia, że setki Polaków, a zwłaszcza zamożniejszych czytuje właśnie „Geselligera,“ wskutek czego rzeczony Bank, chcąc pozyskać kupców Polaków w Prusach Zachodnich, wprost zmuszonym jest ogłaszać się w „Geselligerze.“

Nie wina więc „Banku Parcelacyjnego,“ lecz Polonii tamtejszej, do której dopiero za pomocą „Geselligera“ dotrzeć można.

Zresztą są też jeszcze inne względy, których tutaj w interesie dobra sprawy wymięnić nie można, a które również zmuszają odnośny Bank do ogłoszeń w pismach niemieckich i to bez względu na to, czy Bank następnie korzysta z odnośnych ogłoszeń lub nie. — —

Mądrej głowie — dość na słowie.

To też lepiej było by poprzeć instytucyę znaną z swej zapobiegliwości i działającą tak dodatnio jak to mianowicie przy „Banku Parcelacyjnym“ w Poznaniu, Piekary nr. 18 pod dzielną dyrekcyą pp. Sikorskiego i Łopińskiego — z bilansu łatwo stwierdzić można, niż przeszkadzać...

„Bank Parcelacyjny“, zapoczątkowany w najskromniejszych warunkach, rozwinął się pod dzielną dyrekcyą pp. Sikorskiego i Łopińskiego tak świetnie, że dziś jest to jedna z najpoważniejszych instytucyi parcelacyjnych, a hipoteki tejże równają się nieomal pupilarnej pewności.

To też życzymy „Bankowi Parcelacyjnemu“ i nadal wszelkiego rozwoju, a Szanownych Czytelników zachęcamy do nabywania hipotek i składania depozytów w powyższym banku zwłaszcza, że gwarancya absolutna a procent najwyższy,

**W murach** grodu naszego bawił w przejeździe znakomity i ulubiony nasz poeta, Maryan Gawalewicz z Warszawy, twórca cudnych legend o M. Boskiej i wielu innych przepięknych, do duszy narodu tak serdecznie i rzewnie przemawiających utworów, że niejednego czytelnika do łez porusza. „Czytelnicy „Pracy“ mieli już nieraz sposobność zapoznania się z przepięknemi utworami Gawalewicza, które wraz z odnośnemi illustracyami od czasu do czasu zamieszczamy. Są to perły literatury naszej.

Tylko nasz Gawalewicz z okiem czystem i pogodnem a tak serdecznym i miłym wyrazem twarzy, które jest odbiciem prawej duszy — zdolen jest do podobnie czarujących utworów, jakiemi są zwłaszcza „Dary nieba.“

To też było dla nas prawdziwą ucztą duchową i rozkoszą módz powitać tak niezwykłego gościa; p. Rygerowi, dyrektorowi naszej sceny, który ku uczczeniu tak dostojnego gościa zaaranżował na prędce skromny wieczorek, przeplatany miłą pogawędką — składamy niniejszem w imieniu wszystkich obecnych serdeczną podziękę.

W końcu dodać trzeba, że Gawalewicz, który słusznie uchodzi za jednego z najznakomitszych dramaturgów doby obecnej i ostry krytyk — wyraził się nadzwyczaj pochlebnie o grze naszych artystów, podnosząc tychże niewymuszoną swobodę, naturalność, szczerość w grze i werwę, jakich przymiotów nawet u artystów warszawskich dostrzedz trudno.

W miesiącu lutym zamierza Gawalewicz przybyć do Poznania powtóre i to na dni kilka w celu badań historycznych i zwiedzenia pamiątek. Miłego Gościa zapraszamy do nas usilnie w imieniu Wielkopolski całej, zapewniając, że znajdzie tutaj przyjęcie taksamo szczere i serdeczne, jak sercu polskiemu miłemi są jego „Dary nieba“.

Do widzenia więc...

**Wspomnienie pośmiertne** o ś. p. Leonie hr. Mycielskim odłożyć musieliśmy z powodu nawału materyału do następnego numeru.

**Niezwykły wyrok**. Czytelnicy nasi przypominają sobie pewnie smutny proces, jaki się tu w zeszłym roku dnia 3-go listopada toczył przed izbą karną przeciw wydawcy „Pracy“, p. Marcinowi Bidermanowi, denuncyowanemu u prokuratoryi przez właściciela drukarni p. Krzyżankiewicza, u którego się „Praca“ dawniej drukowała, że on, wydawca, a nie odpowiedzialny redaktor Lipiński, wręczał mu wszystkie niebezpieczniejsze artykuły do druku, specyalnie inkryminowany wiersz Jadwigi Strokowej „Do młodzieży“, za który niesłusznie zdaniem Krzyżankiewicza skazany został odpowiedzialny redaktor Lipiński, gdy właściwym sprawcą był wydawca Biderman.

W procesie tym uznano Krzyżankiewicza za świadka niewiarogodnego, stwierdzono, że jest mściwym i cierpi na pewną manią prześladowczą, czego dowodem ów znany jego pamflet na duchowieństwo i nowy jakiś pamflet, który u niego widział i czytał powołany na świadka szewc Bobowski. Ze względu na to sąd od Krzyżankiewicza nie odebrał przysięgi i oskarżonego wydawcę „Pracy“ uwolnił.

Przebieg tego procesu wiernie przedstawili sprawozdawcy „Pracy“ i „Dziennika Poznańskiego“, przyczem postępowanie Krzyżankiewicza scharakteryzowali w dosadnich słowach. Krzyżankiewicz wytoczył obu pismom proces o publiczną obrazę, oddając sprawę prokuratoryi. Wtedy współredaktor „Dziennika Poznańskiego“, p. Fr. Krysiak, sam dobrowolnie pozwolił się wymienić jako autor odnośnego artykułu w „Dzienniku Poznańskim“, aby wykazać przed sędzią śledczym, że działał wyłącznie z etycznych i obywatelskich pobudek i w obronie stanu dziennikarskiego. Prokuratorya też oddaliła Krzyżankiewicza z publiczną skargą, a tenże udał się na drogę prywatnej skargi i rozciągnął oskarżenie nie tylko na odpowiedzialnych redaktorów wzmiankowanych gazet, ale także na p. Fr. Krysiaka i na p. dr. Karchowskiego jako domniemanego autora odnośnego artykułu „Pracy“, żądając zarazem dla siebie odszkodowania za rzekome poszkodowanie jego interesu drukarskiego.

Dnia 10 go bm. sprawa rozegrała się przed tutejszym sądem ławniczym, któremu przewodniczył młody asesor sądowy dr. Meyer. Mimo że przeczytano denuncyacye Krzyżankiewicza na p. Biedermana i mimo że oskarżyciel w ciągu procesu ponownie denuncyacye swoje powtórzył, wymieniając p. Biedermana jako tego, który mu wszystkie niebezpieczniejsze artykuły dawał do druku, zastawiając się potem odpowiedzialnymi redaktorami, sprawa wzięła obrót bardzo niekorzystny dla oskarżonych.

Oskarżony p. Fr. Krysiak zapewniał sąd, że działał z pobudek czysto obywatelskich, czego dowodem, że sam się zgłosił jako autor, oraz w obronie uprawnionych interesów stanu dziennikarskiego, zagrożonego ewentualnie przez drukarzy, zdradzających położone w nich zaufanie, i że osoba Krzyżankiewicza w grę dla niego nie wchodziła, tylko czyn jego, który scharakteryzował jako niebywały „Vertrauensbruch.“ Tak samo obrońca redaktorów „Dziennika“, p. adwokat i notaryusz Cichowicz i obrońca „Pracy“, pan adwokat Chrzanowski, wykazywali, że jeżeli gdzie, to w tym wypadku zachodzi u oskarżonych przewidziany w prawie paragraf o obronie słusznych interesów, że czynu, którego się dopuścił Krzyżankiewicz, nie można było inaczej scharakteryzować, jak to uczynili oskarżeni, że działali z czystych i obywatelskich motywów i wnieśli dlatego o uwolnienie ich.

Trybunał po przeszło godzinnej naradzie wydał wyrok, który w osłupienie wprawił całe audytoryum i który w dziennikarskim i prawniczym świecie odpowiednie wywołał wrażenie.

Nie przyznał wcale oskarżonym prawa, wynikającego z paragrafu o obronie słusznych interesów, uznał, że zachodzi tu bardzo ciężka obraza powoda, że obraza była zamierzona (absichtlich), że cel swój osiągnęła, bo powoda zrujnowała i dlatego zasądził: współredaktora „Dziennika“ p. Fr. Krysiaka, odpowiedzialnego redaktora „Dziennika“, p. L. Hojnackiego i odpowiedzialnego redaktora „Pracy“ p. Siemiątkowskiego, **każdego na trzy miesiące więzienia** i na zapłacenie

Krzyżankiewiczowi 4000 marek odszkodowania, tyle, ile on sam sobie obliczył. Uprawnienia wysokości tego żądania sąd w ciągu rozprawy nie rozpatrywał. Współoskarżony, jako rzekomy autor odnośnego artykułu „Pracy“ p. dr. Karchowski został uwolniony, ponieważ mu nie udowodniono autorstwa.

Oczywiście, że przeciw temu niezwykłemu wyrokowi założoną została apelacya.

**Z teatru.** W sobotę, dnia 20-go b. m. po raz pierwszy „Fircyk w zalotach“, komedya w 3 aktach Franciszka Zabłockiego. Sztukę poprzedzi *Odczyt o utworach i widowiskach teatralnych w Polsce w XVIII wieku, aż do czasów Stanisława Augusta.* Odczyt ten wygłosi dyrektor Ryger.

W niedzielę dnia 21-go b. m. po południu o godzinie 3-ciej po cenach do połowy zniżonych: „Gwiazda Syberyi“, dramat w 3 aktach (4 obrazach) Leopolda hr. Starzeńskiego. Dramat ten bardzo piękny i bardzo patryotyczny ściąga do teatru zawsze tak liczne rzesze publiczności, że na przedstawieniu tej sztuki teatr zawsze jest wykupionym.

Tego dnia wieczorem: „Kolombina“, żart sceniczny z śpiewami, napisany przez Wincentego Rapackiego (syna) (po raz pierwszy) i „Fircyk w zalotach.“

**Na odbudowanie** wieży na Jasnej Górze nadesłali w dalszym ciągu pp. Betowski z Kleszczyna, Prusy Zachodnie, 1 mk., W. Górczyński z Wiecanowa pod Mogilnem 3 mk., Anna Kronhelm z Wielenia 2 mk., M. Gruszczyński z Inowrocławia 3 mk., M. Ozdowski z Inowrocławia 3 mk. 45 fen. Modzelewicz z Poznania 3 mk., W. S. ze Szamotuł 3 mk. panna J. Ch. 3 mk. pani M. B. 2 mk. Jaś Błażejewski 1 mk. Maryś Janicki 50 fen. Walerek Zenkteler 50 fen. Zofia Ch. z Kórnika 1 mk. Razem złożono dotąd na ten cel 117 mrk. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

**Na zakupno** domu w Konstantynopolu, w którym mieszkał i umarł Adam Mickiewicz złożyła pani N. N. z Buku 50 fen.

Dotąd złożono u nas na cel powyższy 23 mk. 90 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

**W sprawie** Funduszu imienia Janiny Omańkowskiej doszła nas następująca *Odezwa:*

„Przez szanowne pismo Wasze apelujemy do współrodaków i rodaczek, aby zechcieli się przyczynić datkiem do zebrania „Funduszu imienia Janiny Omańkowskiej“ na zakupno elementarzy przez „Samopomoc“, w którym to Towarzystwie panna Omańkowska piastuje urząd w zarządzie.

„Prosząc Szanownego Pana Redaktora o otworzenie składki na fundusz powyższy w łamach Swego pisma, donosimy równocześnie, iż na cel ten zebraliśmy już w kole naszem mk. 30.

Grono Poznańczyków.“

Redakcya nasza chętnie na ten cel będzie składki zbierała i od siebie składa 10 mk.

**Odezwa.** Prawodawstwo państwa niemieckiego stworzyło dla klas robotniczych w dziedzinie dotyczącej zabezpieczeń w razie choroby, wypadku inwalidztwa i starości system opiekuńczych urządzeń, jakichby mu pozazdrościć mogły inne. Mimo to znachodzą się w tej sieci opiekuńczych urządzeń liczne niedostatki, do których usunięcia lub złagodzenia dążyć powinni wszyscy, którym dobro społeczne leży na sercu.

Towarzystwo opieki nad chorymi robotnikami w Poznaniu postawiło sobie za zadanie służyć pomocą klasom pracującym miasta Poznania przy staraniu się o ulgi przysługujące im na mocy praw o ochronie robotnika, jako też opiekować się nad niemi w tych wypadkach, w których nie wystarczają ustawy o zabezpieczeniach w razie choroby, wypadku inwalidztwa i starości. Cel ten zamyśla towarzystwo osiągnąć: udzielaniem rad i wyjaśnień we wszelkiego rodzaju wypadkach dotyczących zabezpieczeń robotników, zapomogami w gotówce lub naturaliach, opieką nad chorymi i ich rodziną, dawaniem wsparć położnicom, troską o losy chorych do zdrowia przychodzących wreszcie wyszukiwaniem odpowiedniego zajęcia dla chorych, którzy z powodu długotrwałej choroby stracili zajęcie lub dla zdrowia innego muszą się chwycić zawodu. Towarzystwo opieki nad chorymi robotnikami zdoła swe zadanie wypełnić jedynie przy większej ilości członków, którzyby nie tylko pieniężnej, ale i czynnej nie odmówili pomocy.

Niżej podpisani odzywają się do wszystkich o dobro społeczne dbałych obywateli i obywatelek miasta Poznania z gorącą a serdeczną prośbą, aby zapisywali się na członków wyżej wspomnianego towarzystwa.

Najniższą roczną składką jest kwota 3 marek. Zgłoszenia przyjmuje skarbnik towarzystwa p. Merzbach, właściciel drukarni przy Placu Wilhelmowskim nr. 8.

Poznań, we wrześniu 1900.

Towarzystwo opieki nad chorymi robotnikami.

Witting, nadburmistrz, prezes chonorowy. Dr. Drobnik, prymaryusz. Haegermann, radzca rejencyjny i przemysłowy, zastępca skarbnika. Dr. Kapuściński, lekarz, drugi zastępca przewodniczącego. Küncer, burmistrz, przewodniczący. Dr. Mankiewicz, medyczny asesor, zastępca sekretarza. Merzbach, właściciel drukarni, skarbnik. Dr. Pauly, tajny radzca zdrowia. Dr. Ruttke, radzca krajowy, pierwszy zastępca przewodniczącego, Scholtz, radzca miejski, sekretarz. Dr. Broekere, lekarz. Dr. Caro, lekarz. Egler, kupiec. Nauczycielowa Eschenbach. Dr. Friedländer, kupiec. Gaertig, nauczyciel i radzca miejski. Greulich, pastor. Dr. Grodzki, lekarz. Hampel, kupiec Hermann, radzca miejski. Georg Jaffé, kupiec. Dr. Jaruntowski lekarz. Dr. Fr. Kantorowicz. kupiec. Nazary Kantorowicz, dyrektor fabryki i radzca miejski. Dr. Kassel, lekarz. Kindler, architekt, radzca miejski i poseł do sejmu. Ks. Klinke, prebendarz. Dr. Krause, radzca miejski. Mecenasowa Landsberg. Dr. Landsberger, lekarz. Dr. Lex chemik. Walery Łebiński, redaktor. Dr. Linke, redaktor naczelny. Julia Lissner. Juliusz Lissner, kupiec. Dr. Lubarsch, profesor. Mannheim, dyrektor fabryki. Mertens, dyrektor gazowni i wodociągów. G. Müller, budowniczy. Orgler, tajny radzca sprawiedliwości. Dr. Orgler, adwokat. Dr. Panieński, królewski fizyk powiatowy. Schleyer, kupiec i rajca miejski. Dr. Schmidt, radzca rejencyjny i medyczny. Stiller, kupiec i radzca miejski. Stoehr, radzca krajowy. Dr. Swięcicki, lekarz. Tauber, restaurator i radzca miejski. Dr. Toporski, asesor medyczny. Victor, kupiec. Walther, urzędnik stanu. Dr. Wernike, profesor, dyrektor hygienicznego instytutu. Wróblewski, nauczyciel zakładu dla głuchoniemych.

**Bank parcelacyjny** w Poznaniu na Piekarach nr. 18, zwraca w swem na tytułowej stronie okładki zamieszczonem ogłoszeniu, uwagę Szanownej Publiczności na to, że Sz. P. może w Banku parcelacyjnym lokować swą gotówkę także na hipotekach, kupując 5°/₀ przynoszące dokumenta, które są lepsze jak listy zastawne, bo również pupilarnie pewne, a niepodlegające znamiennemu kursowi. Bank kupuje i sprzedaje nadto dobra, folwarki, gospodarstwa i t. d., a kasa oszczędności banku przyjmuje depozyta od 1 marki począwszy.

**Interes zbożowy** i komisowy (specyalność: kartofle en gros) otworzył w mieście naszem przy W. Garbarach nr. 3. p. W. Chybki. Na odnośny inserat zwracamy uwagę Czytelnikom i polecamy to nowe przedsiębiorstwo rodaka względom właścicieli ziemskich.

**Specyalny magazyn** i pracownią wszelkiej garderoby dziecięcej otworzyła pani M. Otocka w mieście naszem przy ulicy Rycerskiej nr. 9 na pierwszem piętrze tuż za apteką p. Beckera. Magazyn zaopatrzony jest w bardzo wielki i obfity wybór wszelkich w fach dziecięcy wchodzących artykułów po bardzo tanich cenach. Przedsiębiorstwo to rodaczki polecamy gorąco względom Szanownej Publiczności i zasyłamy jej staropolskie „Szczęść Boże!“

**Pan Feliks Rajek** otworzył w Czarnkowie skład obuwia męzkiego, damskiego i dziecięcego w wielkim wyborze po tanich cenach. Na przedsiębiorstwo to naszego rodaka zwracamy uwagę Szanownym Czytelnikom Czarnkowa i okolicy.

**Jubileusz** 25 letni zawodu nauczycielskiego obchodził dnia 13-go b. m. p. Seweryn Trzemżalski, nauczyciel przy tutejszej III-ej szkole na Śródce. Liczne grono kolegów uczciło go odpowiednio na salce w hotelu Francuzkim.

**Heil Dir im Siegeskranz!** Taką patryotyczną pieśnią witało w Odolanowie *polskie Towarzystwo śpiewu* przybyłych na festyn (urządzony naturalnie u Niemca) śpiewaków polskich z Sulmierzyc. Jakim głosem zaśpiewali im w odpowiedzi ci śpiewacy, tego nie wiemy. Jak się domyślamy jednak, to odolanowskie Towarzystwo śpiewu zamianuje swymi honorowymi członkami tych, którzy w Inowrocławiu prowadzili inowrocławskie Towarzystwo śpiewu w jednym szeregu z Niemcami na odsłonięcie pomnika Wilhelma Igo.

Tak, panowie, dla was jest *Deutschland über alles* — nawet — ponad Polskę.

**Z Salzbachu** (prow. nadreńska) donosi nam nasz korespondent, że tamtejsze Towarzystwo polskie „Jedność“, które liczy przeszło 250 członków, urządziło w święto Sedanu (2go września) festyn niemiecki. Nazwa tego Towarzystwa widocznie oznacza „jedność“ z Niemcami. Na tej drodze mu rozwoju nie życzymy.

**Towarzystwo Czytelni dla kobiet.** Od 26 września rb. sprawami Towarzystwa zawiaduje Wydział złożony z osób dwunastu. Do Wydziału należą: Józefa Chrzanowska, przewodnicząca; Zofia Stasińska, zastępczyni przewodniczącej; Róża Erzepkowa i Janina Omańkowska, sekretarki; Stefania May, skarbniczka; Czesława Au i Jadwiga Niedzielewska, opiekunki biblioteki; Brownsfordowa Helena, Kremerówna, Mroczkiewiczówna Marya, Paczkowska Klara i Pomorska Irena.

Z dniem 1 października rb. Towarzystwo przeniosło Czytelnią i wypożyczalnią swoją do **Bazaru** (pierwsze piętro nr. 14, wejście z ulicy Nowej na lewo).

Czytelnia otwarta jest codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od 3—7 po południu oraz w każdy piątek od 9—10 rano.

Do Czytelni nadchodzi 25 czasopism; bi-

blioteka Towarzystwa liczy obecnie 1250 tomów. Wedle regulaminu Towarzystwa (§3.) **miejscowi** członkowie otrzymać mogą naraz **trzy** dzieła, **zamiejscowi** tyle, ile zmieści się w paczkę 10-cio funtową.

Z biblioteki i pism korzystać mogą oprócz członków także goście, lecz tylko na miejscu. Po 15-tym każdego miesiąca wyłożone są w Czytelni wszelkie świeżo nabyte lub nadesłane **nowości**. Na członka zapisać się można na miejscu u stałej bibliotekarki, także u każdego z członków wydziału. Składka miesięczna wynosi 1 mrk., wstępne również 1 mrk.

**Kolonie wakacyjne.** Wszystkim Dobrodziejom i Dobrodziejkom, którzy raczyli przyjąć polskie dzieci poznańskie do gościnnych domów swoich na wsi podczas minionych wakacyi letnich, dalej p. p. Chwałkowskiemu Fr., Cichowiczowi A., Ołyńskiemu St., Otmianowskiemu T., Leitgebrowi J N., Łukomskiemu (w firmie W. Becker), Ritterowi G., Szczawińskiemu L., Ziętkiewiczowi St. za środki spożywcze, ofiarowane dla Kolonii Imienia Franciszka Dobrowolskiego w Kobylnicy, wreszcie wszystkim osobom, które w jakikolwiek sposób przychodziły nam w pomoc przy urządzaniu i prowadzeniu kolonii, oraz wysyłce dzieci, składa niżej podpisany Zarząd w imieniu naszych maluczkich najserdeczniejsze podziękowanie.

Poznań, 3 października 1900 r.

Wydział Kolonii Wakacyjnych Tow. „Stella“ w Poznaniu.

A. Andruszewski, prezes. Hr. Benzelstj.-Engeström, zastępca prezesa.

Stan. Trzeciakowski, sekretarz. Bol. Ziętkiewicz, skarbnik.

Książę Zdzisław Czartoryski. Jan Czorba. Dr. Tomasz Drobnik. Jan Głębocki. Aleks. Januchowski. Walery Łebiński. Dr. Władysław Łebiński. X. prałat Stychel. Hr. Zygmunt Skórzewski. Hr. K. Żółtowski.

**Gnojnik, Sląsk austryacki,** dnia 29 września 1900. Odnośnie do ogłoszenia zawartego w Nr. 34 „Pracy“ pozwolę sobie jako stosowne miasto do założenia w niem polskiej księgarni wymienić Cieszyn, który mimo tego, iż jest stolicą wschodniej części Śląska austr. zamieszkały przez 180.000 Polaków, nie posiada żadnej księgarni polskiej. Byłoby bardzo na czasie, aby jakiś Polak, nie reflektujący na zbyt wysokie zyski, oddał Polakom śląskim tę cenną przysługę i założył w naszej Piastowskiej stolicy księgarnię polską, którąby paraliżowała działalność germanizacyjną 3ch księgarni niemieckich w Cieszynie istniejących. Księgarz Polak miałby zapewnione poparcie wszystkich śląskich instytucyi narodowych, narażonych na szykany ze strony księgarzy wrogo usposobionych. Zapotrzebowanie polskich książek będzie się ciągle wzmagało z uwagi na coraz szybciej postępujące uświadomienie ludu wieśniaczego i ze względu na wzmagającą się liczbę szkół polskich w Cieszynie. Od pięciu lat istnieje tam gimnazyum polskie prywatne, utrzymywane przez Macierz szkólną, która minionego roku założyła tamże polską szkołę ludową i już obecnie zbiera składki na polskie seminaryum nauczycielskie i polską szkołę realną. Gdy gimnazyum zostanie upaństwowione, co nastąpi najpóźniej po 3ch latach, będzie kamień węgielny podłożony pod dwa ostatnie zakłady. Na ukończeniu znajduje się polski Dom narodowy, w którymby rzutny przedsiębiorca po uprzedniem porozumieniu się z Komitetem budowy mógł otrzymać tani lokal do pomieszczenia księgarni.

Szczegółowych informacyi mógłby udzielić Wydział „Czytelni Polskiej“ w Cieszynie.

*J. S.*

**Slub.** Dnia 9-go października pobłogosławionym został związek małżeński w pięknie udekorowanym kościele parafialnym w Ostrowie, nad Gopłem, między panem Zygmuntem Sniegockim właścicielem drogeryi w Jeżycach pod Poznaniem a panną Zofią Wągrowiecką z Rzeczycy. Slubu udzielił miejscowy proboszcz, ksiądz Pasztalski, piękną mowę do nowożeńców powiedział ks. radzca Kolasiński, proboszcz z Jeżyc. Szczęść Boże młodej parze!

*Zmarli.*

W Grabowie pod Ostrzeszowem umarł dnia 14-go b. m. po długich lecz ciężkich cierpieniach ś. p. ks. dziekan Seweryn Nawrocki, proboszcz grabowski. Urodzony w roku 1827, otrzymał święcenia kapłańskie w roku 1856, a od 1871 roku był proboszczem w Grabowie. Przez długie lata, w których pracował dla dobra parafii, zaskarbił sobie u swoich parafian szacunek i zaufanie.

R. i. p.

W Chełmnie u Sióstr Wincentek zmarł ks. Julian Najdrowski, pochodzący z Nowegomiasta nad Drwęcą. Urodził się 8 maja 1872 r. Studya gimnazyalne odbywał w Nowemmieście i Chełmnie. Na Wielkanoc roku 1895 wstąpił do seminaryum duchownego w Pelplinie. Wyświęcony na kapłana 1 Kwietnia 1899 roku, urzędował trzy kwartały jako wikaryusz w Subkowach. Z powodu choroby piersiowej leczył się w domu chorych w Chełmnie pod opieką Sióstr Wincentek. Zmarł tam w 29 roku życia, a 2 kapłaństwa. R. i. p.

# Od Redakcyi.

*Panu Andrzejewskiemu w Witten.* Wiersz nie nadaje się do druku.

*Panu Miecznikowskiemu w Rio-Claro.* Prosimy uprzejmie o korespondencyę z tamtych stron.

*Wieśniakowi, staremu czytelnikowi „Pracy“ Hamme.* Dla braku miejsca, niestety, nie możemy zamieścić. Prosimy usilnie o krótkie, treściwe korespondencye z życia towarzystw polskich w Westfalii.

*Panu Bolesławowi K. w Ostrowie.* Informacyi w tej sprawie udzieli Panu dyrektor teatru poznańskiego, p. Edmund Ryger.

*Panu Szyp. w Katowicach.* Dziękujemy — zużytkujemy.

*Imci Wielebnemu ks. H. w Ostrzeszowie.* Prusy posiadają szkołę taką czyli instytucyą prywatną, subwencyonowaną przez rząd między innemi w Flensburgu. Najwięcej szkół takich (26) posiada Austrya. Bliższe informacye mógłby w danym razie podać pan Andrzejewski, w Spółce stolarskiej w Poznaniu, na Grobli.

*Panu Waleremu Ukl. w Pobiedziskach.* — Księgarnia polska W. Tempłowicza w Poznaniu.

*Panu Sylwianowi.* Nowelka za słaba — brak w niej efektu i nowelistycznego opracowania, nie nadaje się zatem do druku.

*Panu S. w Chw. pod Gnieznem.* „Justitia“ w Poznaniu, Wiedeńska ulica nr. 8 I. (właściciel J. N. Szulc).

*Panu Sindzie w Hanowerze.* Z powodu ostatniego listu Pańskiego dr. Rakowski radby się porozumieć z Panem w pewnej sprawie. Raczy Pan zatem łaskawie nadesłać do nas swój adres, w kopercie zaadresowanej nazwiskiem Dr. Rakowskiego.

*Panu M. Gr. w Inowrocławiu.* Serdecznie dziękujemy za list i prosimy o częste przesyłanie nam korespondencyi.

*Panu M. Spychalskiemu.* Za obiecaną ofiarę serdeczne Bóg zapłać. Ale my się zbieraniem tego funduszu nie zajmiemy. Może głos nasz dojdzie do tych, co mogliby ująć w swe ręce sprawę, a wtedy niech Pan te dziesięć marek im przeszle, bo pisać będziemy, skoro się coś będzie robić. Za miły list serdeczne dzięki.

*Panu Okop.* Przyznajemy chętnie, że korespondencya z Wągrówca umieszczona w tem prowincyonalnem piśmie mogła zaszkodzić Polakom kupcom. Prywatną drogą postaramy się o naprawienie zła, Redakcya nie przez złość to zrobiła.

*Pani Wandzie Grz. w Osiecznie.* Bliższego adresu tego pana nie znamy.

*Panu N. Mik. w Poznaniu.* „Szkółka dla dzieci“, Piekary nr. 7-y w Poznaniu, jest specyalnem pismem, poświęconem dla dzieci i młodzieży, kosztuje na kwartał tylko 75 fen. i powinna się znajdować w każdej polskiej rodzinie (patrz inserat.) My wobec poruszania tylu już spraw ważnych nie mamy miejsca na urządzanie takiego działu.

*Panu Józefowi L. w Krakowie.* Jesteśmy zaopatrzeni na razie, może później. Za serdeczne życzenia powodzenia najuprzejmiej dziękujemy.

*Panu Marcinowi Wr. we Lwowie.* Za sympatye i wyrazy uznania dla „Pracy“ najuprzejmiej dziękujemy oraz za rozszerzanie „Pracy“. Co do sprawy p. P. to nie chcemy się wdawać w dalszą polemikę i poprzestajemy na tem, co ogłosiliśmy.

*Panu W. Batko w Krakowie.* Które numera „Czytelni Polskiej“ wysłać mamy?

*Panu K. Montwy.* Życzone numera wyczerpane.

*Panu J. Paleczny w Tarnowej Górze. (Galicya).* No. 32 zupełnie wyczerpany.

*Panu Janowi Patla w Myślenicach (Galicya).* Prosimy o nadesłanie odnośnych kwitów a premią przyślemy.

*Panu Józefowi Prelich w Zaborowie (Galicya).* „Czytelnia Polska“ kosztuje pod opaską 60 ct. Na poczcie tamtejszej wynosi abonament 30 ct.

*Panu Janowi Tulińskiemu w Skomielnie Białej (Galicya.)* Prosimy o podanie dokładnego adresu a numera okazowe wyślemy.

*Panu L. Szułczyńskiemu w Wrocławiu.* Obrazka albumowego ks. Józefa Poniatowskiego dotychczas w „Pracy“ nie umieściliśmy. Uczynimy to później. Co do innych projektów, udaj się Pan do „Gońca Wielkopolskiego“ Poznań ul. Berlińska.

*Panu A. Zawadzie.* Zgadzamy się najzupełniej na zdanie Pańskie, że konkurencya ta między zachodnio-pruskiemi pismami polskiemi powinna mieć swe granice — ale artykułu nie umieszczamy, aby nie wydawało się, że idziemy śladem owych pism, które teraz, przy zmianie kwartału, odrywać chcą czytelników innym pismom, przez pomieszczenie złośliwych artykułów przeciw nim.

*Panu Dr. Zarembie.* Życzenie uwzględnione zostanie. Ponieważ korespondencye te nie były pisane przez osoby podległe władzy szkolnej, zatem prócz chwilowych szykan i nieprzyjemności żadnych ujemnych skutków mieć nie mogą.

*Panu J. Kr. w Miłosławiu.* Sprawa ta należy do działu inseratów — redakcya nie ma z nią nic wspólnego.

*Panu A. B. w Jeżycach.* Na tak obszerne sprawozdanie nie ma miejsca w „Pracy“. Na drugi raz prosimy o krótki jak najtreściwszy referat a chętnie zamieścimy.

*Panu Kazimierzowi Kr. w P. per Janówiec.* W Redakcyi Kurjera Lwowskiego we Lwowie.

# Humorystyka.

## Opera w życiu.

Życie ludzkie, to opera
Na szerokim grana świecie,
Wszystkie właściwości oper
Także w życiu odnajdziecie.

Kiedy człowiek się urodzi,
I podniesie się kurtyna,
Masz akt pierwszy, który zwykle
Wielkie „solo“ rozpoczyna.

Gdy się żeni — to akt drugi
Dotąd śpiewał solo smętny,
Teraz z żoną „duet“ nuci,
Bądź żałosny, bądź namiętny.

Gdy rok zleci — to akt trzeci,
„Tercet“ robi się niestety,
A gdy w domu więcej dzieci,
Masz „kwartety“ i „kwintety.“

Walka o byt — to akt czwarty,
Gdy chcesz wzlecieć z życia cieśni,
Społeczeństwo — to „chór“ wielki,
Z którym śpiewać musisz pieśni.

Śmierć nareszcie — to akt piąty
W arye różne tak zasobny,
Masz tu solo, duet, tercet,
Wszystko... kończy chór żałobny.

* * *

## Bismark Almanzor.

(Wspomnienie na czasie.)

(„Sto milionów marek subskrybuje on,
By Polaków wygryźć z ich ojczystych stron,
Sto milionów djabłów zje prędzej on sam,
Niźli mu się uda wykonać ten plan.“)

I.

Już w gruzach leżą polskie osady,
Naród ich dźwiga okowy,
A ja Polaków pragnąc zagłady,
Włos mój ostatni rwę z głowy.

II.

Patrzcie o giaury! jam siny cały,
Krew mi się z złości gotuje;
Zniszczyć Polaków sejmy nie dały,
Sił mi już nowych brakuje.

III.

Czemże was więcej dręczyć już mogę?
Jakież wymyślę katusze?
A więc sam własną wywinę nogę
I śmierci oddam — mą duszę.

IV.

Jakaż to szkoda, żem taki stary,
Żem się urodził tak wcześnie,
Że mi się nowe wymkną ofiary,
A umrzeć — jak to boleśnie.

V.

A tych Polaków jeszcze miliony
Po mojej śmierci zostanie,
Księża im będą głosić z ambony,
Że stary Bismark — nie wstanie!

VI.

Że już nie będzie pędzić ich komu
Z własnej ich ziemi i roli;
Wiedzcie, że płaczę dziś pokryjomu,
A serce pęka i boli.

VII.

Do Ziemi Świętej pójdę o głodzie
I o śmierć lekką poproszę;
Lecz nie ciesz się, nie ciesz polski narodzie,
Bo ztamtąd — zarazę przyniosę...

*Ha-Ka-Te.*

## W restauracyi.

— Płacić!

— Do usług.

— Żona ma wątróbkę gęsią, córka pierś nadziewaną, syn móżdżek cielęcy, a ja — pięć bomb i świńskie ucho...

## W restauracyi kąpielowej.

— Panie gospodarzu, ta pieczeń cuchnie bardzo — trza ją wyrzucić.

— Nie spiesz się — tutejsi goście leczą się na katar chroniczny — szwankują na powonieniu.

## Ma racyę.

— Czy to prawda, że pański ojciec znów się chce żenić?

— Niestety! tak jest.

— A pan się temu nie sprzeciwiasz?

— Naturalnie, że nie, tyle tylko panu powiem, że gdyby moja matka żyła -- nie przyszłoby do tego.

— A. Cobyś robił, gdybyś znalazł 100,000,000 marek?

— B. Jużbym przez całe życie nic nie robił.

* * *

— Śpiewak: Mam doskonałe ucho.

— Słuchacz: Jaka szkoda, że pan nie śpiewa uchem.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ Wincenty Szmytkowski.

# Uzupełnienie

mebli, jako też innych rzeczy sprawia każdemu, który posiada skromne utrzymanie, nieraz kłopot. Jak sobie w tym przypadku najlepiej poradzić, lub jak narzeczeni swoje nowe urządzenie nabyć mogą?

Kupuje się różne przedmioty w Wielkim Domu Kredytowym firmy **Aufricht & Mandowsky**, tam nabędzie każdy wszelkich

585

# mebli

jako i innych przedmiotów na kredyt. Każdy nabywa, takowe płacąc w małych ratach podług dochodu n. p. tygodniowo, miesięcznie lub kwartalnie. Składy nasze posiadają wielki wybór **w konfekcyi męzkiej i damskiej**, jako też różnych **materyi, dywanów, firan** i

# towarów
## różnego gatunku!

A więc niech nikt długo się nie trapi i kłopoce, tylko spieszy do

**Domu towarów na kredyt**

# Aufricht & Mandowsky

**w Poznaniu,**

**Wielkie Garbary Nr. 38,**

gdzie kupić można tanio i dobrze

# za mało pieniędzy.

---

Handel ptaków

**C. Seilera**

**w Poznaniu**, W. Garbary 34 poleca swój bogato zaopatrzony skład w papugi i rozmaite tak krajowe jak też zagraniczne ptaki ozdobne i śpiewające po najniższych cenach. 563

Akwaria, żer wszelki dla ryb i ptaków, fretki pp. łapki do chwytania królików, siatki do chwytania ptactwa itd.

---

**Proszę czytać!!**

Bióro moje pod firmą **„Justitia"** założone od 4 lat znajduje się 577

**Wiedeńska ul. n. 8, I pt.**

a nie **Wrocławska.** — Pośredniczy w wszelkich sprawach — ma wielki wybór służby dworskiej, dobrze poleconych i proszę o łaskawe zlecenia i poparcie mego interesu. **J. N. Szulc.** Weteran 63 r.

---

**Fortepiany**

najnowszej konstrukcyi, o pełnym i dźwięcznym głosie, nowe i używane, poleca tanio

**A. Drygas,** 565

**ul. Rycerska nr. 33,**

**narożnik św. Marcina.**

---

**J. K. Jasielski**

**adwokat ludowy**

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

**w Poznaniu,**

**Stary Rynek 88 II ptr.**

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

---

**Wozy robocze**

**i koła do wozów**

ma zawsze w zapasie i odstawia takowe tylko z suchego drzewa, dobrze odrobione i po umiark. cenie.

**Głogowska parowa fabryka stelmachska.**

**Bredner i Okoniewski,**

dawniej **R. Kraus.**

---

Szanownym Paniom polecam na sezon **jesienny i zimowy** moją

**pracownią sukien damskich i kostyumów,**

podług najnowszych żurnali. Krój dogodny.

589 Z szacunkiem

**M. Borowiak,**

Bramkowa ul. nr. 4, I. p.

---

**75 fen.**

kwartalnie kosztuje teraz

**„Szkółka Domowa"**

jedyny w zaborze pruskim tygodnik obrazkowy dla

**samouków:**

dzieci i młodzieży. Zawiera osobną 579

**Szkółkę rodzicielską**

czyli naukę, jak rodzice w domu uczyć mają dzieci tego, co najpotrzebniejsze, oraz naukę abecadła i naukę pisania z wzorami i wskazówkami:

**Sam się pisać nauczę!**

Na poczcie „Szkółka" zapisana we wykazie gazet

*II Nachtrag 126 a.*

W Poznaniu zapisywać ją można w każdej agencyi gazet za 75 fen., z odnoszeniem do domu za 1 mk.

Numerów na okaz bezpłatnych żądać trzeba pod adresem: **„Szkółka Domowa"** Poznań (Posen) Piekary nr. 7, III.

---

**Dla Narzeczonych!!**

**Bardzo wiele pieniędzy**

zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297

**J. Strzelecki**, Mogilno, (filia w Inowrocławiu).

---



Nowo wybudowany

**dom**

mieszkalny z piętrem blizko miasta jest do nabycia li tylko rodakowi, przydatny dla wszelkiego przedsiębiorstwa lub na letnie pomieszkanie.

Zgłoszenia do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **S nr. 569.**

---

**Maryaż.**

Dla braku znajomości pań poszukuje na tej drodze kawaler z pewnem stanowiskiem

**towarzyszki życia.**

Panny i młode bezdzietne wdówki. z zamiarem założenia własnego przyjemnego ogniska, uprasza się o łaskawe nadesłanie swych zaszczytnych ofert z dołączeniem fotografii i swych stosunków do ekspedycyi „Pracy" pod nr. **1000 a.**

Dyskrecya zapewniona.

---

**Dobrych krawców**

na żakiety, paletoty i spodnie przyjmie na stałe zajęcie

**L. Goldstein,**

557 Wrocławska ulica 19.

---

**Do mojej cukierni i kawiarni** poszukuje z dobrem wychowaniem 568

**ucznia**

**M. Kamiński**

**w Mogilnie.**

*Uczony.*

(Panna lat 40). — Jak myślisz kochany profesorze — ile lat mogę liczyć?

— Daruje pani na kobietach zupełnie się nie rozumiem, zajmuję się bowiem tylko rzymskiemi i egipskiemi antykami.

# Kalendarz Katolika

## na rok 1901

odznacza się doborową, ciekawą i pouczającą treścią, albowiem zawiera: Kalendaryum. Żywoty Świętych Pańskich. Żywoty zasłużonych mężów. Stuletni kalendarz. Przysłowia. Zapiski. Ważne dnie w rodzinie. Wiersz na Nowy rok. Za winy niepopełnione, powieść. Święty Jan Kanty, legenda wierszem. O oku, napisał dr. Hulewicz z Bytomia. Bitwa pod Jarosławiem, ustęp z powieści „Potop“. Święty Jacek, legenda wierszem. Ofiary nałogu, powieść. Jak sobie radzić, gdy zachoruje dziecko? Św. Jan Kanty wśród rozbójników, legenda wierszem. Krwawe zapasy, o wojnie angielsko-burskiej. Miłuj bliźniego twego. Henryk Sienkiewicz. Przygody i figle żołnierskie: Jak żydów strzelać nauczono; Marsz, marsz ku Frydlądowi; Straszna armata; Komorek; Trębacz Jaszczołd; Cesarski grenadyer; Rosół kanonierski. Oszczędność, spółki i banki w społeczeństwie polskiem. Przestrogi dla panien, wychodzących za mąż. Lis i winogrona. Jak zastawiać sidła na zwierzęta drapieżne. Główniejsze wskazówki dotyczące chowu i tuczenia świń. Zabawy naukowe. Nasze obrazki. Fraszki. Niegodziwość ukarana. Zadania i łamigłówki. Taryfa pocztowa i inne wiadomości codziennie potrzebne. Jarmarki w roku 1901 na Śląsku, w W. Księstwie Poznańskiem, w Prusach Zachodnich, w Prusach Wschodnich, w obwodach: Arnsberg i Magdeburg; na pograniczu Galicyi i Śląska austryackiego. Ogłoszenia. Wszystkie powieści, wiersze i rozprawy ozdobione są pięknemi ilustracyami. Prócz tychże dodaje się następujące obrazki wielkości kalendarza: **Pan Jezus sewilski, obraz kolorowy; Św. Rodzina, kopia cudownego obrazu w Kaliszu; portret Henryka Sienkiewicza; Ojciec św. ogłaszający rok jubileuszowy; szczyt kopca Kościuszki; artylerya angielska w bitwie pod Kolenzo; szturm anglików na pozycye burskie; Burowie wciągają na górę wielką armatę zwaną Long-Tom; posłowie znajdujący się wraz z rodzinami swemi w czasie rzezi chrześcian w Pekinie; otwarcie wystawy paryskiej; główny widok wystawy paryskiej.**

Nadto dodaje się jeszcze do kalendarza: **kalendarz ścienny i kalendarz kieszonkowy.**

**Cena kalendarza 50 fen., z przes. 60 fen.**

Pieniądze najlepiej przesyłać przekazem pocztowym (Post-Anweisung); porto przekazu aż do 5 marek wynosi tylko 10 fen., za wyższe sumy 20 fen. — Adres dla przesyłek listów i pieniędzy:

**„KATOLIK“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)**



— Panie gospodarzu — takiego mętnego piwa pić nie mogę.

— Pij pan spokojnie, to szklanka jest tylko brudna

Na sezon jesienno-zimowy nadeszły i polecam

**peleryny, kabaty, płaszcze watowane, kabatki dla panienek, płaszczyki dziecinne,**

wszystko w wielkim wyborze w eleganckich fasonach. 536

Również zwracam uwagę na mój bogato zaopatrzony **skład kapeluszy damskich i dziecinnych,** które podług najnowszych modeli kopiowane są.

Wszystko w wielkim wyborze, ceny jak najtańsze. Zeszłoroczne kapelusze przerabiam tanio i gustownie.

**A. Depczyńska,**

**Skład płaszczy i kapeluszy damskich,**

Jezuicka ulica nr. 12.

# Obuwie!

w najróżniejszych gatunkach od najprostszego do najwytworniejszego, z skóry, filcu i sukna,

**kalosze**

**ruskie i niemieckie** poleca

# W. Skórnicki

Poznań, St. Rynek 46.

**Ceny**

jak ogólnie znane,

bardzo nizkie

ale stałe.

Usługa rzetelna.

Sprzedaż tylko za gotówkę.




## W-Panów właścicieli ziemskich

pozwalam sobie niniejszem jak najuprzejmiej uwiadomić, że z dniem 1 października r. b. otworzyłem w **Poznaniu**

# interes zbożowy i komisowy,

**specyalność:**

# kartofle en gros.

Załatwiać będę wszelkie transakcye w zakres rolnictwa wchodzące, a mianowicie dostarczać będę po cenach umiarkowanych: 600

1) Wszelkie gatunki makuchów,
2) Ospę i otręby,
3) Sztuczne nawozy i t. p.

Również kupować będę po cenach targowych **wszelkie produkta gospodarcze,** jak: **zboże, nasiona i kartofle.**

Porobiwszy znajomości z pierwszorzędnymi domami handlowymi, ręczyć mogę za rzetelną i skorą usługę. — Polecając to moje przedsiębiorstwo względom W. Panów właścicieli ziemskich, proszę uprzejmie o łaskawe poparcie i pozostaję

Z wysokim szacunkiem

unizony sługa

**W. CHYBKI,**

**Poznań, W. Garbary nr. 3, parter.**

Za poprz. nadesłaniem 80 f. wysyłka franco.

**Nowość! Nowość!**

**15 rozmaitych**

**kart korespondencyjnych**

z widokami zdjętemi z obrazów Jana Matejki poleca

**za tylko 75 fen.**

**Skład papieru i materyałów piśmiennych**

**„Atlas“**

**W. Kostrzewski,**

**Poznań, Stary Rynek nr. 48.**

Za poprz. nadesłaniem 80 f. wysyłka franco.

*Warsztat i skład obuwia*

dla panów, pań i dzieci

**Karola Ptschyody,**

mistrza szewskiego

Gniezno, ul. Wilhelmowska nr. 14.

Wielki wybór

*obuwia sezonowego*

wszelkiego rodzaju.

Specyalność: obuwie dla cierpiących na nogi. Zamówienia na miarę wykonuję skoro i rzetelnie. Wyporządzania odrabiam szybko i zgrabnie.

# St. Brzeski,

*Poznań, św. Marcin Nr. 64.*

**Telefon Nr. 1101.**

**Warsztat elektro-mechaniczny.**

**Biuro instalacyjne**

telefonów, światła i dzwonków elektrycznych, gromochronów i t. p.

**Handel i fachowy warsztat welocypedów.**

Gen. zastępstwo kołowców i automobili

**„Falke.“** 470